



35046

I

P







35046

I

*Duicunne 931.*







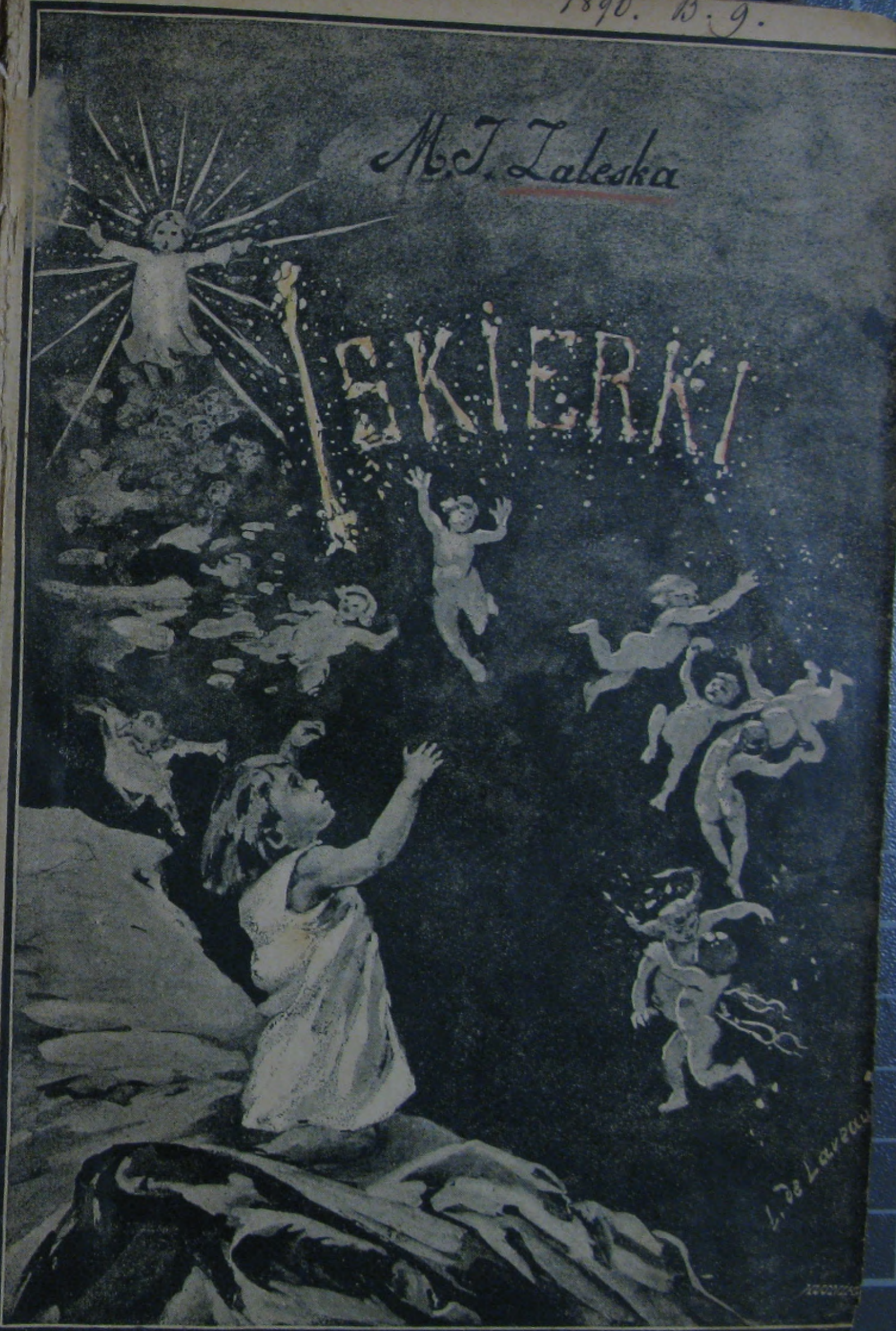




1890. W. 9.

Ms. J. Taleska

# BEKIERKI



L. de Laveau

W. 9.







ISKIERKI.









1870

Wm. W. Phelps







L. De Lamps



54

△

# ISKIERKI

---

KRÓTKIE POWIASTKI I BAJECZKI

DLA MŁODSZEJ DZIATWY

NAPISAŁA

**M. J. ZALESKA.**

---

z 8-miu rycinami De-Lavaux:



KRAKÓW.

NAKLAD G. GEBETHNERA I SPÓLKI.

1890.

931





35.046

T.

KRAKÓW.

Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.



## Wiewiórki.

---

Był to ciepły wieczór letni. Młoda wiewióreczka w szybkich susach przeskakiwała z gałęzi na gałąź, a wtem nagle przystanęła na tylnych łapkach i wesoło wykrzyknęła, witając inną wiewióreczkę, znacznie starszą, która znów z przeciwnej strony się zbliżyła.

— Dobry wieczór cioci — zawołała — nie widziałyśmy się od rana, co tam cioteczka przez cały dzień porabiała?

— Spałam trochę po obiedzie, bo nie lubię w upał wychodzić z domu — odpowiedziała starsza — a teraz zbierałam zapasy do spiżarni, bo czuję, że będzie słońce, trzeba jedzenie dla siebie i dzieci przygotować.

— Aha! — rzekła tamta z westchnieniem — czuję i ja, że ta nieznośna słońca się rozpocznie,



ale u nas jest dosyć jedzenia w spiżarni, matka zawsze wcześniej o tem pamięta. Co to za nudna rzecz, że w tym roku tak często deszcze padają i trzeba w domu siedzieć, jak w więzieniu, zamiast skakać po lesie. Ja też dziś korzystałam z pogody i zabięłam aż do sadu leśniczego.

— Co, co, byłaś sama aż w sadzie? — wykrzyknęła ciotka — nie bałaś się, ażebyś tam napotkała ludzi, żeby cię byli schwytali?

— Ludzi widziałam — odrzekła młoda wiewióreczka — dzieci leśniczego zrywały i jadły owoce; one mnie także widziały. Ach! co to był za krzyk, co za radość: Wiewióreczka, wiewióreczka! wołały w niebogłose, jak gdyby nie wiem jakie dziwo obaczyły. Przeleżałam się w pierwszej chwili okropnie, lecz wnet spostrzegłam, że niema czego, gdzieżby tam oni mnie potrafili dogonić. Jeden chłopiec drapał się nawet na drzewo, na którem siedziałam, ale jak niezgrabnie! Śmiech mnie porwał, bo czyżto jemu iść z wiewiórką w zawody. Zaczęłam skakać z jednego drzewa na drugie, aż wkońcu zupełnie mnie z oczu stracili, bom się ukryła doskonale na samym wierzchołku rozłożystej gruszy.

— Zawsze to nieostrożność z twojej strony,



kochanko — mówiła ciotka poważnie — i nieposłuszeństwo, pewnie nie prosiłaś matki o pozwolenie, wybierając się do sadu.

— Ej, mama nie będzie się gniewała, cioteczko, bo i sama często do tego sadu biega. Wyborne tam są orzechy, próbowałam także i pestek wiśniowych, ale mi się niebardzo podobały. Ach! żebyś wiedziała, ciociu, jak te dzieci leśniczego zabawnie jedzą wiśnie; smokczą i połykają ten obrzydliwy miękisz czerwony, który ja zawsze wypluwam, a to co najlepsze, twardą pestkę, wyrzucają.

— A tak, tak — potwierdziła ciotka — ludzie nic smaku nie mają, ze wszystkich owoców zjadają tylko miękisz, a na wyborne ziarnka patrzeć nie chcą. Ale powiedzno mi, moja droga, czy twoja matka myśli o zimowym mieszkaniu i o zapasach zimowych? Mnie się zdaje, że już pora przygotowania rozpocząć.

— Coś o tem wspomniała mateczka — rzekła młoda wiewiórka — chociaż ja nie wiem doprawdy, poco to się przenosić? Mamy bardzo dobre i wygodne mieszkanie, doskonale się w niem chronimy wszyscy w czasie deszczu, pocóż nam lepsze?

— Jak to znać, żeś jeszcze zimy nie prze-



żyła — mówiła starsza, powiewając poważnie puszystym ogonem — tybyś gotowa w mrozy pozostać na letnim mieszkaniu. O! moja droga, tożbyś niezawodnie zginęła z chłodu i głodu, bo na letnich mieszkaniach niema przecież nigdzie śpichrzów takich obszernych, ażeby można było dostateczną ilość zapasów przygotować. Ja na przykład tego lata wychowałam swoją dziatwę w gnieździe, gdzie przeszłego roku sroki mieszkaly. Dobrze tam jest, wygodnie, bo mój mąż wyporządził gniazdo, jak należy, a on się zna na tem. Dorobił dach, ażeby deszcz do środka nie zaciekał, wewnątrz suchym i miękkim mchem wytapetował i ściany i podłogę, ale cóżby to wszystko znaczyło na zimę, gdy przez kilka długich miesięcy trzeba siedzieć prawie ciągle w domu, a choćby się i wyszło w dni słoneczne, nigdzie nie można znaleźć ani orzeszka, ani żołądki, ani najdrobniejszego ziarnka. Wszędzie białe, śnieg pokrywa ziemię, a drzewa ogołocone z liści. Straszna to rzecz zima; pomimo wszelkich ostrożności niejedna biedna wiewiórka nie doczeka wiosny.

— Ach! moja ciociu, to okropne, cóż my poczniemy?

— Nie przerażaj się zbyt, kochanko —



uspokajała ciotka — od czegoż rozum i doświadczenie? I ja, i matka twoja, przeżyłyśmy już szczęśliwie niejedną zimę, wiemy jak sobie radzić. Najlepiej upatrzeć w grubym pniu drzewnym porządną, głęboką dziuplę, pozatykać szpary starannie, a nadewszystko zaopatrzyć spiżarnią. Niektórzy nasi krewni, naprzykład świstaki górskie, mają takie szczęśliwe usposobienie, że całą zimę przesypiają, nie budząc się wcale i nic jeść nie potrzebują. Powiadają, że i siostry nasze wiewiórki, mieszkające na dalekiej północy, także w taki sen zimowy zapadają. My tego nie potrafimy, niestety!

— Ach, ciociu! — zawołała młoda wiewióreczka — czyż to podobna, żeby kto mógł spać przez kilka miesięcy zrzędu, nic nie jedząc? Toż jabym zginęła z głodu i osłabienia, żebym tylko przez jeden dzień nic nie jadła.

— We śnie jest inaczej, i ty przecież śpisz czasem dość długo, zwłaszcza w czasie słoty, a jak śpisz, to nigdy jeść nie prosisz. Ale ten sen zimowy, to rodzaj odrętwienia: trzeba także wiedzieć, że wszystkie zwierzęta, które na zimę zasypiają, zawsze wprzód ogromnie się najadają i bardzo są tłuste. Otóż ten tłuszcz ciągle potrosze, podczas snu, do krwi ich przechodzi i tym



sposobem życie podtrzymuje. To tak zupełnie, jak gdyby one ten tłuszcz swój własny powoli zjadały. Za to też, gdy się na wiosnę przebudzą, są okropnie wychudzone i wymizerowane.

— Muszą też być głodne, ciociu, wyobrażam sobie. Ja kiedyś w deszcz przespałam całą dobę, gdym się ocknęła, taka byłam zgłodniała, że w tej chwili do spiżarni dobierać się chciałam. Ale mateczka mnie wyłajała, powiedziała, że już pogoda, więc mogę pójść sobie poszukać śniadania, a zapasy spiżarniane na słotę się przydadzą. Trafiła mi się też dnia tego gratka nie lada. Skakałam jak szalona z drzewa na drzewo, szukając ziarenek, aż tu patrzę, gniazdeczko jakiegoś małego ptaszeczka ukryte wśród gałęzi, a w niem kilka ślicznych jajek. Zjadłam dwa jajka z wielkim smakiem, byłabym spałaszowała i resztę, ale coś w liściach zaszeleściło, przeleżałam się, czy nie kuna, bo tatko mówił, że widział przed kilku dniami zdaleka straszną kunę leśną, nieprzyjaciółkę naszego rodu. Pomknęłam więc dalej, zostawiając resztę jajek, żałowałam tego potem, bo kuna jakoś na szczęście nie pokazywała się więcej.

— Ostrożność jednak nie zawadzi — odrzekła ciotka — mnie na samo wspomnienie kuny



dreszcze przechodzą od stóp do głowy. Żaden zwierz drapieżny nie jest dla nas tak straszny, ani lis, ani wilk, ani pies myśliwski, bo my tak szybko po drzewach skaczemy, że przed każdym z nich umknąć potrafimy. Ale kuna leśna jest nadzwyczaj zwinna i także po drzewach ugania z wielką chyżością, ona jedna dopędzić nas zdoła.

— Że też ta kuna tak doskonale skacze, choć niema takiego puszystego ogona, jak my — odezwała się młoda wiewióreczka — ja czuję, że ten ogon bardzo mi w tem pomaga, jak nim wywinę, to skoczę na najdalsze drzewo. Bez ogona byłoby mi bardzo niewygodnie.

— O, zupełną masz słuszność — odrzekła ciotka — znałam jedną starą wiewiórkę, której złośliwi ludzie odcięli ogon i tak ją okaleczoną wypuścili. Nieszczęśliwa nie mogła już tak zwinnie skakać po drzewach i wkrótce ją zwierz jakiś pożarł. Ale my tu gadu gadu, a ja jeszcze nic a nic do spiżarni nie zaniiosłam. Bywaj zdrowa, kochanko, kłaniaj się matce.

— I starsza wiewiórka chyżym skokiem przeleciała odrazu aż na sąsiednie drzewo, a młodsza poskoczyła w inną stronę, wołając:

— Do widzenia, cioteczko.

---



## Wojtuś.

---

Wojtuś, mały chłopczyk wiejski, był sierotą, dziadek chował go przy sobie i troskliwie się nim opiekował. Stary Walenty, dziaduś Wojtusia, był ubogi, niewiele też mógł zarobić, bo już sił nie miał, a jednak chłopczynie na niczem nie zbywało, bo dziaduś wolał sobie czegoś odmówić, byle ukochany wnuczek miał wszelkie wygody. Na wsi zazwyczaj i dzieci muszą coś robić, wyręczać starszych, o ile potrafią, ale Walenty nigdy do żadnej roboty nie pędził malca, pozwalał mu bawić się od rana do wieczora z dziećmi bogatszych wieśniaków.

Raz wieczorem stary Walenty, powróciwszy z kosą z pola, siedział na przyźbie pod chatą, a Wojtuś strugał patyczki kozikiem, biegając tu i owdzie. Wtem nadszedł Jędrzej karbowy, także



już staruszek, pozdrowił Walentego i zaczął z nim rozmawiać, a wyjmując tabakierkę z kieszeni, podał mu ją, mówiąc:

— A popróbujcieno, kumie, co to za dobra tabaka; wczoraj kupilem w mieście, bardzo mi smakuje.

— Co dobra, to dobra — powiedział Walenty, spróbował.

— Jak chcecie, to i dla was kupię — rzekł Jędrzej — pojutrze znów za interesem pańskim jedziemy do miasta, dajcie jaką złotówkę, a będziecie mieli dobry zapas.

— Ja tam nie mam złotówki na takie zbytki — odparł Walenty — odwykł człowiek od tabaki, choć dawniej się zażywało; bo to widzicie, ot i ten biedny sierota na mojej głowie, a dziecko coraz czegoś potrzebuje, łatwiej staremu obejść się bez wszystkiego, niż dziecku.

— E, bo wy, kumie, psujecie zanadto tego malca — mówił Jędrzej — albo to mu potrzebny ten kozik, coście mu u Węgra kupili! a za te pieniądze byłaby tabaka.

— Oj, żebyście widzieli, co to za uciecha była z tego kozika — odrzekł Wojciech z uśmiechem — a już ja wolę patrzeć na uciechę dzieciaka, niż najlepszą tabakę zażywać.



— I, czy to taki malec wam się odwdzięczy...

— A czy ja dla wdzięczności to robię? — przerwał żywo Walenty — byle mi rósł zdrowo, to mi najlepsza wdzięczność.

Wojtuś niby to nie zważał na rozmowę starych, strugał pilnie swoje patyczki, słyszał jednak wszystko doskonale, a że chłopczyzna miał dobre serce, więc go słowa dziadusia bardzo wzruszyły. Kozik był śliczny, Wojtuś o mało nie oszalał z radości, gdy mu go dziadek kupił, w całej wiosce dwóch czy trzech chłopców tylko miało podobne, a jednak zaczął myśleć o tem, czy nie możnaby sprzedać gdzie kozika i za te pieniądze kupić tabaki.

Myślał, myślał i przypomniał sobie, jak kilka dni temu Kasia, córka wdowy Józefowej, pokazywała mu śliczną złotówkę i opowiadała, że to pani ze dworu dała jej za jagody, bo jagód tych było dużo, Kasia zbierała je prawie przez cały dzień w lesie. Wojtuś zbierał nieraz jagody, ale sam je zjadał, nie przyszło mu nigdy do głowy, że za nie pieniądze mieć można, pocóż mu były pieniądze? dziaduś kupował sam wszystko, co potrzeba. Teraz jednak nasz Wojtuś chciał koniecznie dostać złotówkę na tabakę dla dziadusia.



Na drugi dzień dziaduś szedł znowu z kosą w pole na cały dzień, zabrał z sobą jedzenie, bo pole było daleko od jego chaty. Wojtusiowi także zostawił trochę chleba, mleka, pieczonych kartofli i przypomniał mu, żeby drzwi dobrze zamknął, jak pójdzie bawić się z dziećmi, bo mogłoby bydłę jakie wejść do chaty. Jak tylko dziaduś odszedł, nasz Wojtuś wziął duży dzbanek wyszczerbiony, włożył do kieszeni tyle chleba i kartofli, ile mógł pomieścić, napił się mleka, potem wyruszył do lasu.

Po drodze spotkał chłopaków, z którymi się zwykle bawił, wołali go i zapraszali, żeby szedł z nimi, ale Wojtuś odpowiedział, że nie ma czasu, bo idzie do lasu na jagody.

— Na jagody pójdziemy później — wołali chłopcy — a teraz mostek pobudujemy. W tym dołku, obok ogrodu karbowego, pełno wody po wczorajszym deszczu.

Wojtuś bardzo lubił mostki budować, aż westchnął, tak mu się chciało iść z chłopcami, ale nie zawrócił się i poszedł dalej do lasu. Tak pilnie zbierał jagody, że jeszcze słońce dosyć wysoko było na niebie, a on już miał pełny dzbanek. Poszedł prosto do dworu, pani pogłaskała Wojtusia, spytała, czy dziaduś zdrów, a potem



wyniosła mu ładną złotówkę, zupełnie taką samą, jak widział u Kasi.

Chłopiec był uszczęśliwiony, pocałował panią w rękę, włożył złotówkę do kieszeni, a wracając do domu, cochwila ją wyjmował i oglądał. Chciał zrazu oddać pieniądz dziadusiowi i powiedzieć, że to na tabakę, ale potem inaczej się namyślił. Wstąpił po drodze do karbowego, podał mu złotówkę i rzekł:

— To na tabakę dla dziadusia.

— Aha! — powiedział Jędrzej — namyślił się stary; dobrze, dobrze, powiedz, że kupię.

Wojtuś pobiegł do domu, nic nie mówił dziadusiowi, czekał cierpliwie, a na drugi dzień wieczorem przyszedł Jędrzej i powitawszy staro- go, podał mu zaraz paczkę z tabaką.

— A co to? — spytał Walenty ze zdziwieniem.

— No, cóżby było? tabaka, coście mi na nią ów złoty przysłali.

— Ja złoty przysłałem na tabakę? — spytał Walenty — chyba się wam przyśniło, kumie.

— A toż Wojtuś mi przyniósł wczoraj wieczorem i mówił, że na tabakę. Może się pomylił, możecie co innego chcieli kupić? A chodźno tu, Wojtuś.



Chłopczyk przybiegł rozpromieniony i rzekł:

— Bo to ja nie od dziadusia, ja od siebie wam dałem złoty na tę tabakę.

— Od siebie? — zawołał Walenty, jeszcze mocniej zdziwiony — a zkadże ci do głowy przyszła tabaka i kto ci dał złoty?

— Bo to ja wczoraj nazbierałem jagód w lesie i pani we dworze dała mi złoty za jagody. A wy, dziadusiu, kupiliście mi taki śliczny kozik, choć za te pieniądze byłaby tabaka...

— Słyszał pewno, jakeśmy to mówili pozawczoraj — rzekł Jędrzej z uśmiechem.

Dziaduś drżącymi rękami wziął chłopca za głowę, łza mu się w oku zakreśliła:

— A widzicie, kumie — mówił — wyście powiadali, że taki malec nie potrafi być wdzięczny.

— Poczciwe z ciebie dziecko, Wojtusi — rzekł karbowy pamiętaj, abyś zawsze był taki.



## Mały ogrodnik.

---

Mama Alinki i Jasia lubiła niezmiernie kwiaty, pielęgnowała je sama w ogrodzie przed domem, a i w pokoju trzymała różne ładne rośliny kwitnące w doniczkach. Zawsze też własną ręką je podlewała, Alinka, duża już ośmioletnia dziewczynka, pomagała mamie, a miała do tego ładną, malutką koneweczkę blaszaną, zielono pomalowaną.

Jaś był daleko młodszy od siostrzyczki, dopiero trzeci rok kończył, i on jednak lubił przypatrywać się podlewaniu kwiatów i słuchał, jak mama opowiadała Alince różne ciekawe rzeczy o roślinkach, chociaż nie rozumiał jeszcze tego wszystkiego.

— Roślinki koniecznie potrzebują wody — mówiła raz mama, podlewając swoje doniczki —











oneby bez wody żyć nie mogły. Gdy w lecie czasem długo deszcz nie pada, wszystkie ziółka i trawki wysychają, zboże nie rośnie, nawet liście u drzew żółkną. W pokoju nigdy niema deszczu, więc żeby się tych biednych roślinek nie podlało, toby zupełnie poschły i poginęły.

— I po co im ta woda, moja mamusiu? — pytała Alinka.

— A po co tobie mleko, rosół, potrawka z kurczęcia? — odrzekła mama z uśmiechem — roślina potrzebuje jedzenia, tak samo, jak i ty, ale ponieważ nie ma zębów i nie może twardej rzeczy rozgryzać, więc wodę tylko pije korzonkami.

— Biedneż te roślinki — mówiła Alinka — co to za jedzenie, czysta woda.

— Ależ to wcale nie jest czysta woda — odpowiedziała mama — bo ona wsiąka w ziemię i zabiera ztamtąd różne cząsteczki twarde, rozkrusza je i rozpuszcza w sobie, tak zupełnie, jak w herbacie rozpuszcza się cukier, a w różnych wodnistych potrawach sól. Roślina wypija taką pożywną zupę, wciągając ją korzonkami, a tym sposobem rosną jej gałązki, listeczki i kwiatki.

— Kiedy tak, to trzeba dobrze podlewać



te kochane roślinki, żeby miały co jeść i nie zginęły z głodu, bo to wielka byłaby szkoda. Pijcie, kwiateczki, pijcie! — i mówiąc to Alinka wylała resztę wody z koneweczki w dużą doniczkę, w której kwitła ładna pelargonia pąsowa. Malutki Jaś stał za nią z założonemi wtył rączkami i powtarzał:

— Pijcie, pijcie, kwiateczki!

Tegoż samego dnia tak się jakoś zdarzyło, że wszyscy wyszli z pokoju i Jaś został sam jeden. Chłopczyna zbliżył się do kwiatków, oglądał je, nakoniec jedną malutką doniczkę, nisko stojącą, chwycił rączkami i postawił na podłodze, wziął potem koneweczkę Alinki, pełną wody, podniósł ją z łatwością, bo była bardzo leciutka i zabierał się do podlewania.

A wtem Jaś spostrzegł na krześle pudełko tekturowe, podbiegł, podniósł nakrywkę i zobaczył nowy kapelusz mamy, wczoraj z Warszawy przywieziony, ładnemi kwiateczkami ubrany.

— Oho! — pomyślał sobie chłopczyna — mamusia zapomniała te kwiateczki podlać, a mówiła, że one nie mogą żyć bez wody. Szkoda byłoby takich ślicznych kwiateczków.

Pudełko było także bardzo lekkie, nasz Jaś objął je obiema rączkami, postawił na ziemi, usiadł



przy niem, chwycił koneweczkę z wodą i dalejże podlewać kwiatki u kapelusza, wołając razporaz:

— Pijcie, kwiateczki, pijcie.

Wtem weszła piastunka i krzyknęła z prze-  
rażenia, obaczywszy, co się dzieje. Na krzyk ten nadbiegła i mama, a chociaż jej trochę żal było nowego kapelusza, nie mogła jednak wstrzymać się od śmiechu, bo Jaś zaczął teraz tłumaczyć, że on przecież nic złego nie robi, tylko kwiateczkom pić daje, żeby nie uschły i nie zginęły.

— Mamusia sama mówiła — powtarzał chłopczyna — że one koniecznie wody potrzebują.



## Mała Laponka.

---

Dzieci lubiące zabawy ze śniegiem, wiają się ciężkiej zimy, byle miały śnieg i było z czego robić, i kule ogromne i mich bałwanów, i fortece budować. Dzieci stwa B., mieszkających na wsi, rozkochały się także w tym śniegu, który zasypywał prawie codziennie cały ogród i podwórze z trudem wymiatać było trzeba. Ale dzieci siły, że w jednej części ogrodu nie było śniegu, lecz im do zabawy pozostawiały kupy ogromne.

Dwaj starsi chłopcy najrozmaitsze rzeczy robili z tego śniegu, a młodsza i strzyczka, ośmioletnia Lunia, z wielkim zapałem im pomagała. Ona też pierwsza podała im radę, aby zbudować domek ze śniegu, widziała



obrazku i wiedziała, że Lapończycy, mieszkańcy dalekiego kraju północnego, naprawdę budują sobie domy ze śniegu. Chłopcom się ten pomysł podobał, zaczęli więc gromadzić śnieg pod sztachetami, oglądając go ładnie z wierzchu, i wkrótce stała ogromna kupa, u góry zaokrąglona, zupełnie podobna do tych domów lapońskich na wsinkach.

Lunia tak była zachwycona tem arcydziełem, że siedziałaby chętnie od rana do wieczora przy domku śniegowym, gdyby mama na to pozwoliła. Ile razy, czy zrana, czy po południu, ubrano ją ciepło i wypuszczono z pokoju, pędem biegła do ogrodu i poprawiała coś u wspaniałego domku, dokładała doń śniegu, ażeby był jeszcze większy i śliczniejszy.

Dnia pewnego rodzice z braćmi pojechali w sąsiedztwo, Lunia została w domu pod opieką służącej Brygidy; mama odjeżdżając powiedziała, że może Lunia bawić się w ogrodzie do zachodu słońca. To też Brygida zaraz ją ubrała w ciepłe buciki, futerko, kapturek i dziewczynka, jak zwykle, pobiegła do lapońskiego domku.

Przez czas jakiś bawiła się gromadzeniem śniegu, zrobiła nawet drugi domeczek malutki, a lalek lapońskich, aż w końcu przyszła jej do



głowy myśl bardzo niedorzeczna: czepiając się sztachet, wlaźła na sam wierzch śniegowego domku i usiadła na nim. Dnia tego mróz był niewielki, śnieg zaczynał padać, ale Lunia nie zważała na to, lubiła nawet bardzo, gdy śnieg padał jej na twarzyczkę, na nosek, czasem chwyciła płateczek ustami i połknęła. Tak też robiła i teraz, siedząc na dachu laponckiego domku; a wtem nagle dach ten zaczął się usuwać i Lunia zapadała coraz głębiej w śnieg, aż w końcu cała z głową się w nim pograżyła.

— O! jakże to zabawnie — zawołała — teraz sobie siedzę w domku, jak prawdziwa Laponka.

I wcale nie miała ochoty wychodzić, bardzo jej tam było wygodnie i miękko, zimna nie czuła w futerku, kapturku i ciepłych bucikach. Siedziała więc tak Lunia, nie poruszając się wcale; powoli oczki jej kleić się zaczęły i mała nasza Laponka na dobre zasnęła. Śnieg tymczasem padał coraz gęstszy i zasypywał ją z góry, dziewczynka ani czuła, że jest cała zagrzebana w śniegu.

Dopiero o zachodzie słońca Brygida wyszła do ogrodu, wołając na Lunię, że pora już wracać do pokoju. Jakież było jej przerażenie, gdy na te wołania, kilkakrotnie powtórzone, nikt nie



odpowiedział. Lunia usnęła tak mocno, że nic nie słyszała, bo na mrozie zwykle tak bywa, można usnąć na wieki, jeżeli ratunek nie przybędzie na czas.

Ale Brygidzie do głowy nawet przyjść nie mogło, żeby dziewczynka ukryta była w śniegu, więc biegała po całym ogrodzie, dosyć obszer-  
nym, przybrała do pomocy ogrodnika, kreden-  
cerza, praczkę; wszyscy strwożeni i zmartwieni  
szukali zatraconej panienki i szukali nadaremnie.

Nadjechali na to rodzice i bracia Luni; Bry-  
gida z płaczem opowiedziała, co się stało, że  
panienka wyszła, jak zwykle, bawić się śniegiem  
w ogrodzie i tam jak w wodę wpadła, nigdzie  
jej odnaleźć nie można. Łatwo sobie wyobrazić  
przerażenie rodziców; ojciec i matka, nie rozbie-  
rając się, zaczęli sami przetrząsać cały ogród,  
a dwaj bracia Luni, niemniej od rodziców strwo-  
żeni, dopomagali im gorliwie. Wszyscy przecho-  
dzili razporaz podczas tych poszukiwań obok  
domku lapońskiego, lecz nikomu na myśl nie  
przyszło do niego zajrzeć. Już i ściemniać się  
zaczynało, ojciec Luni kazał zapalić latarnią, gdy  
wtem ozwało się głośne miuczenie kota. Ma-  
cius lubił bardzo Lunię, bo dziewczynka była do-



bra dla niego, dawała mu mleczko na miseczce, czasem i mięsa kawałek, a zawsze go popieściła.

Ojciec Luni pierwszy zwrócił uwagę na kota i spostrzegł, że Maciuś, miauczając ciągle przeraźliwie, zaczął rozgartywać pazurami śnieg w domku lapońskim. Nie tracąc chwili, ojciec rozsypał tę kupę śniegu i wyciągnął z niej z okrzykiem radości i trwogi zarazem uśpioną dziewczynkę. Na krzyk ten zbiegli się wszyscy, Lunię ciągle nieprzytomną odniesiono do pokoju, rozebrano, położono w łóżeczku i tu dopiero oczki otworzyła. A kotek ciągle miauczał, teraz już wesoło i kręcił się koło łóżeczka.

Na szczęście Lunia katarą tylko odpokutowała swoją nieroztropność; rodzice wcale jej nie łajali, bo widzieli, że i sama już pewnie drugi raz tego nie zrobi. Bracia od tej pory nazywali ją małą Laponką i nazwa ta pozostała jej na długo.



## Opowiadanie Białosi.

---

Koteczka Białosia, tak przezwana od białego, jak mleko, futerka, miała troje ślicznych kociątek: jeden kociak był biały, jak matka, drugi siwy, a trzecia koteczka pstrokata, centkowana, wyglądała zupełnie jak maleńka tygrysiczka. Dzieci domowe ponadawały wszystkim trojgu imiona: biały kotek nazywał się Miż, siwy Kiż, koteczka Mruczka. Matka była to kotka roztropna i doświadczona, bardzo starannie dziatwę swoją wychowywała, Mizia i Kizia zawsze napominała, żeby byli grzeczni dla siostrzyczki, a Mruczkę znów, aby braciszkom się nie naprzykrzała.

Wieczorami wolno jej było z całą rodziną siedzieć w jadalnym pokoju, bo Białosia umiała się zachować jak należy, nie włąziła na krzesła, stoły, nie dobierała się do kredensu i kociętom



nie pozwalała tego robić. Łapała tylko myszy i tak je wyniszczyła w całym domu, że bardzo rzadko gdzie się pokazywały. Nigdy jednak nie była głodna, dzieci pamiętały o niej, przynosiły dla całej kociej rodziny mleko i różne inne przysmaki.

Białosia miała swój mały dywanik obok kominka, tam też zazwyczaj sadowiła się z kociętami, bardzo im było w tym zacisznym kąciuku ciepło i wygodnie. Najczęściej matka mruczała zcicha, a małe kociaki odpowiadały jej podobnem mruczeniem; była to taka kocia mowa, bo troskliwa Białosia ciągle dzieciom dawała jakieś nauczki. One najlepiej lubiły, gdy im opowiadała dawne, bardzo dawne dzieje kociego rodu, o pra-pra-dziadach ich, którzy żyli niegdyś, przed wielu laty, w czasach starożytnych. A Białosia to wszystko wiedziała, słyszała od swej mateczki, ta znów od swojej, podania te kocie przechowywane były przez liczne pokolenia.

— Widzicie, moje dziatki — mówiła pewnego wieczora — jak nam tu dobrze, ciepło, wygodnie przy kominku, mamy dach nad głową, ani zważamy na to, co się dzieje na dworze. Wszystko to winniśmy ludziom, którzy się opiekują kotami i pozwalają im mieszkać w swoich do-



mach. Byłyście kiedyś ze mną w lasku, łążyłyście po drzewach, bardzo to się wam podobało, nieprawdaż?

— O bardzo! — zamruczał Kiż — ślicznie tam było w tym lasku, świeże mięsko młodego wróbelka tak mi smakowało. Dziwiłem się nawet, że mamusia nie chciała zamieszkać z nami wśród tych ślicznych drzew zielonych; tamby nam nie zabrakło jedzenia, tyle ptaszków jest na gałęziach.

— Ba! to było latem — odpowiedziała Białosia — gdybyś zobaczył, synku, co się teraz dzieje w lesie, nie miałbyś pewnie ochoty tam mieszkać. Drzewa ogołoczone z liści, wiatr zimny dmucha, ptaszki odleciały do cieplejszych krajów, pusto, smutno, uciekłbyś ty ztamtąd prędko do domu. Są jednak w naszym rodzie koty dzikie, te stronią i uciekają od ludzi i mieszkają po lasach, ale nie w tym kraju, daleko ztąd, bardzo daleko. I nasi pra-pra-dziadowie w czasach niezmiernie dawnych także prowadzili takie życie, póki się nie zapoznali i nie zaprzyjaźnili z ludźmi.

— Gdzież oni mieszkali, mamusiu, ci pra-pra-dziadowie? — spytała ciekawie Mruczka — czy w tym lasku, gdzieśmy latem chodzili na przechadzkę?



— O nie, wcale nie — mówiła Białosia — trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że wielu ludzi uczonych zajmowało się pilnie historią kociego rodu, niemałe my znaczenie musimy mieć na świecie. No, nic dziwnego, niedarmo ludzie szanują, pielęgnują koty, bez nas nigdy w życiu nie daliby sobie rady z myszami i szczurami, oneby ich zawojowały bardzo prędko. Opowiadają przecież o jakimś królu Popielu, którego myszy pożarły. Z pewnością nie trzymał kotów na swoim dworze. W dawniejszych czasach, jak słyszałam, gdy jeszcze w Europie nie znano oswojonych kotów, hodowano po domach łasice, ażeby szczury i myszy tępiły. Ale łasice nie chciały poprzestać na myszach i pożerały także drób domowy, więc biedni ludzie więcej z nich mieli szkody, niż pożytku. Dopiero, gdy koty z za morza sprowadzili, przekonali się, że żadne inne zwierzę nie może iść z nami w porównanie.

— Z za morza, matusiu? — spytał mały Kiż, który dotąd drzemał w kąciku, a teraz przebudził się nagle i łebek podniósł — alboż to nasi pra-pra-dziadowie przybyli z za morza?

— Ależ morze, to taka ogromna woda, opowiadała nam to mamusia przy lekcji geografii —



rzekła Mruczka — więc oni chyba umieli pływać po wodzie ci nasi pra-pra-dziadowie?

— Zkądże ci to znów przyszło do głowy — odrzekła mateczka — opowiadałam wam przecież, że ludzie okrętami żeglują po morzu, oni też na tych okrętach przodków naszych przywieźli z innej części świata, z Afryki.

— Z Afryki, mamusiu, z tej ziemi, gdzie to są Murzyni czarni, jak węgiel? — pytała Mruczka.

— Więc koty w dawnych czasach z Murzynami mieszkały w Afryce? — odezwał się Miż.

— Nietylko Murzyni w Afryce mieszkają — rzekła Białosia — jeszcze wam o tem nie opowiadałam, że w północnej części tego lądu jest rozległy kraj, przez który przepływa ogromna rzeka Nil, zowie się Egiptem. Mieszkańcy Egiptu nie są zupełnie czarni, mają cerę miedzianą. Niegdyś w dawnych czasach był to naród potężny i mądry bardzo, to też poznał się na wartości kotów i zaczął je hodować, aż póki się zupełnie nie przyswoiły i z ludźmi nie zaprzyjaźniły. Egipcyanie naszych przodków na równi z bóstwami swojemi stawiali i czcili w świątyniach. No, jakkolwiek koty z pewnością na największy szacunek zasługują, zawsze już ja sama



przyznać muszę, że to był nierozsądek. Życie przodków naszych w Egipcie było prawdziwie rozkoszne, nikt nie považył się im najmniejszej krzywdy wyrządzić. Teraz, niestety! jest inaczej. Jakże często chłopcy okrutnicy dręczą koty, topią je dla niegodziwej zabawki i rzadko kto im w tem przeszkadza. Oho! niechby się taki chłopiec niedobry odważył był na to w starożytnym Egipcie. Byłby niezawodnie śmiercią karany.

— Śmiercią! — powtórzył Kiż — jacyż to rozumni i zacni byli ci Egipcyanie. Jaka szkoda, że my nie mieszkamy w Egipcie!

— Nam i tu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo — rzekła mateczka — bo w tym domu i rodzice są poczciwi i dzieci dobre bardzo. Zapewne, zawsze tu nie to co w Egipcie. Tam raz zdarzyło się, iż cudzoziemiec, Rzymianin, zabił przypadkiem kota. Ludność cała rzuciła się na niego, rozszarpała go i o mało z tego powodu nie wynikła wojna pomiędzy dwoma narodami. Tak to, dzieci moje, w dawnych czasach szanowany był ród koci.

— I jakże to się stało, — pytała Mruczka — że ci przodkowie nasi wynieśli się z Egiptu, gdzie im było tak dobrze?

— Gdy w Europie rozmnożyły się bardzo



szczury i myszy, podobno ogromnemi gromadami nachodziły z Azyi, ludzie żadnym sposobem nie mogli się od nich obronić. Zasłyszawszy o kociach egipskich, sprowadzili je i zaczęli hodować. Odtąd żyjemy tu w zgodzie z ludźmi, tępimy szczury i myszy, za to mamy ciepły kąć u nich na zimę i wygodę.

— A jednak świetniejsze to były dla kociego rodu te czasy egipskie, matusiu — rzekł Miż.

— Oj to prawda — potwierdzili Kiż i Mruczka.

— Tak, tak, moje dzieci — mówiła Białosia — dlatego też ja wam o tych czasach opowiadam, bo powinniście znać dzieje przodków waszych.



## Lunia.

---

Lunia była dobra i miła dziewczynka, ale miała jedną brzydką wadę, nie lubiła porządku. Książeczki, zabawki, graciki swoje rozmaite, zawsze porozrzucała po pokoju, nie uważała, gdzie co kładzie. Na stole, na krzesłach, na podłodze, pełno było zawsze różnych rzeczy, należących do Luni. Mama często ją o to strofowała, ale na próżno.

Raz ciocia przyniosła jej koszyczek pełny truskawek. Lunia zjadła ich trochę, a resztę z koszyczkiem postawiła na kanapie. Potem przypadkiem wywróciła koszyczek, a gdy go nakoniec zabrała, aby poczęstować truskawkami starszego braciszka, który ze szkoły powrócił, nie spostrzegła, że kilka dużych jagód zostało na kanapie.



W parę godzin potem przyszła do mamy w odwiedziny jedna pani, w ładnej, jasno niebieskiej sukni. Mama, nie wiedząc o niczem, prosiła ją, aby usiadła na kanapie. Pani ta, posiedziawszy trochę, wstała i miała już odejść. Możecie sobie wyobrazić, jak się przeraziła i zawstydziła biedna mama Luni, gdy spostrzegła na ładnej, świeżuteńkiej sukni tej pani okropne plamy czerwone, z których ociekał sok truszkawek. Domyśliła się zaraz, czyja to sprawka, bo znała dobrze swoją córeczkę.

Nie było innego sposobu, tylko musiała mama ostrzec tę panią, żeby tak na ulicę nie wychodziła i przeprosić bardzo za to, że w jej domu spotkał gościa taki przykry przypadek. A była to osoba obca, która pierwszy raz przyszła do rodziców Luni. Upewniała wprawdzie, że to nie znaczy, że pośle po dorózkę, odjedzie do domu i tam się zaraz przebierze, ale musiała być bardzo niezadowolona i pewnie w duszy pomyślała sobie: „Wolałabym była nie przychodzić do domu, gdzie są takie niegrzeczne dzieci“.

Lunia żałowała bardzo swego roztrzepania, płakała nawet rzewnie i szczerze obiecywała poprawę, ale na drugi dzień znów swoje robiła. Zawsze ze wszystkimi swojemi gratami rozkła-



dała się po krzesłach, kanapach i wszystkich kątach. Raz, krając sukienkę dla lalki, rzuciła nożyczki na duży fotel, stojący w pokoju bawialnym. Weszła piastunka z malutką Maniusią, siostrzyczką Luni i posadziła dziecko na tym fotelu. A wtem Maniusia przeraźliwie krzyknęła, bo ostre końce nożyczek skaleczyły ją okropnie. Zbiegli się wszyscy domowi, krew oblała dziecinę, przestach był wielki, a najwięcej podobno przestraszyła się Lunia, gdy obaczyła, jakie to straszne skutki może mieć nieporządek.

Maniusia długo chorowała, zanim się rana zagoiła, ale Lunia na zawsze oduczyła się brzydkiej swej wady. Nigdy już nie zdarzyło się jej położyć czegośkolwiek nie na swoim miejscu, lub nie poskładać zabawek porządnie.

---



## Michałek.

---

Michałek był synem jedynym bogatego młynarza; jeszcze w kolebce stracił matkę, ale stara babcia i ojciec kochali go nad życie, pieścili, dogadzali, a i psuli potrosze. To też Michałek rósł i o niczem nigdy nie myślał, tylko o własnej przyjemności, o własnej wygodzie, był samolubem. Gdy zajadał smaczną kromeczkę chleba, posmarowaną przez babcię świeżem masełkiem lub powidłami, nigdy nawet odrobiny dla pieska nie zostawił. O ludziach, którzy bywają głodni i nawet suchego chleba nie mają, Michałek nie wiedział. Bawił się tylko z dziećmi zamożniejszych mieszkańców wioski, do uboższych, obdartusów, jak ich nazywał, nigdy się nie zbliżał.

Raz Michałek stał nad rzeczuiką i zwyczajem swoim coś zajadał, gdy z drugiej strony



nadeszła mała dziewczynka w nędznej połatanej koszulinie i spódniczce z jakiegoś wyblakłego łachmana. W ręku trzymała dzbanek gliniany, pochyliła się nad rzeczką i zaczęła wody nabierać. Michałek poznał dziewczynkę, była to córeczka ubogiej wdowy Marcinowej, mieszkającej w pobliżu młyna. Nigdy syn bogatego młynarza nie przemówił do tej małej „łachmaniarki“, ale słyszał, jak inne dzieci wołały na nią „Jagusiu“, albo „Jaga“, gdy z niej szydzić chciały.

— Hej, Jaga! — zawołał więc znienacka — poco tu wodę czerpiesz wedle młyna; idź sobie dalej.

— A ja nie chcę dalej. Albo mi tu niewolno? — odpowiedziała mała przekornie.

— Nie chcesz? — wykrzyknął Michałek rozgniewany, że mu się sprzeciwiać śmiała — nie chcesz? Ja cię zmuszę, ja cię ztąd napędzę, obaczysz!

— Popróbuj — odrzekła dziewczynka, wzruszając ramionami i pomaleńku, jakby drażnić chciała chłopaka, czerpała wodę w dzbanek.

Michałek niewiele myśląc pochwycił kamyk z ziemi i wymierzył, jak mu się zdawało, prosto w dzbanek. Nie był on taki złośliwy, aby chciał biednej dziewczynce krzywdę wyrządzić, a roz-



bicie dzbanka wydawało mu się zabawnym figlem tylko. Wielkie też było jego zdziwienie i przerażenie, gdy nagle Jagusia krzyknęła przeraźliwie, jak gdyby ją kto zarzynał i upadła twarzą w wodę, a dzbanek potoczył się w inną stronę i rozprysł na drobne kawałki.

Chłopak, patrząc na to, w pierwszej chwili zupełnie głowę stracił, myśli mu się plątały bezładnie. Jagusia leżała jak martwa, była zabita, i to on, on tym kamieniem ją zabił! On stał się zabójcą! Michałek widział już raz w swoim życiu zabójcę, straszego człowieka, zakutego w kajdany, żandarmi uzbrojeni prowadzili go do więzienia. Ach! teraz i jego pewnie zakują w kajdany i do więzienia odprowadzą, jeżeli Jagusia naprawdę zabita. Ale może też ona odżyje jeszcze.

Więc po chwili takiej beczynnej rozpacz, Michałek poskoczył na ratunek dziewczynki. Podniósł ją, położył na trawie, na brzegu rzeczki i serce jego uderzyło radośnie, bo mała otworzyła oczy i znowu krzyczeć zaczęła, chwytając się za nogę. Dopiero wtenczas obaczył Michałek, że z nogi Jagusi ściekała krew, kamień ugodził ją powyżej kostki i bolesnie zranił. Chłopak pamiętał, że gdy raz rękę nożem okaleczył, babka mu ranę wodą przemyła i obwiązała płócienną



szmatką. Zaraz też pędem pobiegł do młyna, chwycił swoje prześcieradło z łóżeczka, oddał spory kawałek płótna, znów skoczył do Jagusi i porządnie jej płatkami nogę obwinał.

Dziewczyna patrzyła na niego milcząc, przestała płakać na chwilę, ale gdy już noga była obwiązana, zaczęła znów zawodzić za stłuczonym dzbankiem. Michałek drugi raz do młyna skoczył i powrócił wnet z nowiuteńkim dzbankiem polewanym.

— Na, masz — rzekł — ładniejszy od twego.

— A ładniejszy — powiedziała Jagusia z uśmiechem — nasz był stary i wyszczerbiony.

I chciała biec do domu pochwalić się przed matką nowym dzbankiem, ale w żaden sposób nie mogła nogą stąpić.

— Co teraz będzie, ja do domu nie zajdę — rzekła Jagusia, zupełnie udobruchana, do Michałka.

— Chyba ja ciebie zaniosę — odpowiedział chłopak — a że był silny, Jagusia drobna i wątła, więc z łatwością ją odniósł do chatki, gdzie mieszkała jej matka.

Żdziwiła się bardzo Marcinowa, gdy obaczyła Jagusię niesioną przez Michałka, syna bo-



gatego młynarza, ale dziewczynina prędko jej wytłomaczyła rzecz całą.

— A woda? jakże ja będę bez wody? — spytała Marcinowa.

— Ja zaraz pełniutki dzbanek przyniosę — zawołał Michałek — niech już pani Marcinowa na mnie się nie gniewa, ja doprawdy przez figle ino ten kamyczek cisnąłem, nie w głowie mi było jej co złego zrobić.

— I pewnie — odezwała się Jagusia — ja także bez potrzeby przekomarzałam się Michałkowi.

— Fige, figle! — rzekła Marcinowa, która tymczasem odwinęła nogę zranioną i obejrzała ją uważnie — a dziewczyna ze trzy dni będzie musiała posiedzieć w domu, i któż mnie wody przyniesie?

— Ja przyniosę, pani Marcinowa — zawołał Michałek — ja przyniosę codzień, póki Jagusia nie wyzdrowieje zupełnie.

A chcąc pokazać, że on to potrafi, pobiegł chłopak śpiesznie do rzeczki i pełny dzbanek wody przyniósł.

— Jeść, matulu, tak mi się jeść chce — rzekła w tej chwili Jagusia.



— Na, masz pieczone ziemniaki — odrzekła matka.

— Dajcież i soli.

— Soli? kiej niema, zabrakło, pójdę pojutrze do miasta, to przyniosę.

I biedna Jagusia milcząc zajadała ziemniaki bez soli. Pierwszy to raz Michałek widział takie ubóstwo; on nigdy nie chciał jeść nawet i białego chleba z solą, tylko zawsze mu babcia smarowała, to masłem, to twarogiem lub powidłami. Nic nie mówił, pożegnał się z Marcinową i Jagusią, powrócił do młyna i zastał babcię w domu, przyszła była przed chwilą od kумы organiściny. Michałek opowiedział staruszce szczerze całą swoją przygodę, jak się przeląkł okropnie, bo myślał, że Jagusię na śmierć zabił, jak potem dla naprawienia złego podarł prześcieradło i nowy dzbanek oddał Marcinowej. Babcia pokręciła głową, ale nie łajała Michałka, pogłaskała go tylko, mówiąc:

— Złote serce ma ten chłopczysko, tak samo, jak nieboszczka matka, co od ust sobie zawsze odjęła, a biednemu dała.

Michałek westchnął, bo czuł, że na tę pochwałę nie zasłużył; nigdy on dotąd od ust sobie nie odejmował dla ubogich, dziś poraz pier-



wszy zbudziło się w nim nieznanne jakieś uczucie. Te ziemniaki bez soli, które zajadała Jagusia, stały mu cały dzień w gardle i wkońcu zaczął się przymilać do babci i coś jej szeptać do ucha. Staruszka wzięła klucze, poszła z nim do spiżarni, i w kwadrans potem Michałek uradowany, jakby skarb zdobył, szedł śpiesznie do chatki Marcinowej, niosąc na plecach worek naładowany przeróżnemi zapasami żywności. Jagusia miała taki podwieczorek, jakiego w życiu swoim jeszcze nie kosztowała.

Ale nie dość na tem, od tej pory zaczęło się wdowie Marcinowej dzać lepiej, bo babka Michałka, stara już, osłabiona, ciągle jej dawała robotę we młynie, wyręczała się nią, a za to suto płaciła i pieniędzmi, i mąką, i innemi pożytecznemi rzeczami. Pocziwa wdowa błogosławiła zawsze Michałka, mówiła, że to on tym kamykiem sprowadził szczęście na Jagusię i na nią. Michałek myślał sobie, że i jemu chyba ten kamyk przyniósł coś dobrego, bo przedtem nie miał pojęcia o tem, jak to przyjemnie dopomóc uboższemu.

---



## Roztrzepaniec.

---

Dużo jest dzieci roztrzepanych, ale takiego roztrzepańca, jak Adaś, to już chyba drugiego niema na całym świecie. A jednak chłopczyk skończył lat siedem, powinienby był mieć trochę więcej rozsądku od malutkich dzieci. Adaś nigdy nie miał zwyczaju patrzeć przed siebie; nawet wtenczas, gdy biegł pędem po pokoju lub po dworze, zawsze miał głowę w bok wykręconą lub do góry, jak gdyby tam z tyłu, z boku, lub na suficie ciekawe jakieś rzeczy się działy, a nigdy nie widział, co było przed nim na drodze.

Razu jednego pędził tak Adaś zwyczajem swoim z głową do góry zadartą przez pokój mamy, nie wiem już, dlaczego mu się tak spieszyło, gdy nagle uczuł ból dotkliwy w łokciu, a w tej samej chwili usłyszał brzęk jakiś obok



siebie. Wtenczas dopiero spojrzął tam, gdzie należało wprzód popatrzeć. Cóż się stało? Oto Adaś biegnąc, uderzył łokciem o toaletę mamy, zwierciadło przewróciło się i potłukło w drobne kawałki.

Nadeszła mama, zbiegli się wszyscy domownicy na ten hałas; domyślacie się pewnie, że Adasia wyłajano porządnie, podobno leguminy nie dostał na obiad, nie na wiele się to jednak przydało. Chłopczyk nie był zły, żałował bardzo, że mamie taką szkodę wyrządził, przeproszał, obiecywał być uważniejszym, ale po chwili o wszystkim zapomniał.

— Ej, Adasiu, obaczysz, że kiedyś to roztrzepanie na złe ci wyjdzie — mówiła mama — daj Boże, aby cię tylko jakie nieszczęście nie spotkało. Nieraz widziałeś, że ludzie ociemniali mają przewodników, bo inaczej nie mogliby uniknąć różnych niebezpieczeństw po drodze, a chodzą zwykle powoli. Ty zaś pędzisz, jak szalony, a nie widzisz nic przed sobą, chociaż na to ci Pan Bóg dał oczy; więc jesteś zupełnie jakby ociemniały.

W kilka dni po tym wypadku ze zwierciadłem, Adaś biegł przez pokój jadalny, potrącił stolik, na którym stał dzbanuszek z mlekiem,



dzbanuszek się przewrócił, nie rozbił się, bo był blaszany, ale mleko pociekło strumieniem ze stołu na podłogę.

— Deszczyk leje się z rynny! — wołała malutka Mania, młodsza siostrzyczka Adasia — jaki śliczny deszczyk biały!

Piesek Dżalmuś spał przy kominku, usłyszawszy brzęk dzbanuszka, zbudził się, spojrzął, poskoczył do mleka i zaczął z wielkim smakiem wylizywać strumyczek, płynący po podłodze. Mania śmiała się, klaszcząc w rączki, a Adaś zapomniiał zupełnie, że to on roztrzepaniem swoim taką psotę spletał i śmiał się także serdecznie.

Nadbiegła służąca, nie potrzebowała nawet się pytać, kto to zrobił, bo odgadła odrazu, że to sprawka Adasia, zaczęła gderać, ale chłopczyk wcale na to nie zważał, poleciał dalej, uderzył głową o drzwi, na ganku potknął się o ławeczkę i upadł, jak długi, nie bardzo się jednak potłukł, więc zerwał się zwawo i pędził dalej.

Ale tegoż samego dnia wieczorem roztrzepanie Adasia daleko gorsze miało skutki. Rzecz dziwna: nigdy on nie chodził krokiem zwyczajnym tylko pędem biegał, roztrącając wszystko po drodze, zagawroniony gdzieś w sufit, myśląc



o niebieskich migdałach. Tak więc leciał i tego wieczora znowu przez pokój jadalny i z całej siły potrącił stolik, na którym już teraz stał, nie dzbanuszek z mlekiem, lecz ogromny samowar z wodą wrzącą.

A w tej samej chwili, gdy Adaś miał już dalej pędzić, nie spostrzegłszy nawet, co się stało, ozwał się krzyk straszny, przeraźliwy, był to głos malutkiej Mani. Dziewczynka siedziała na podłodze w pobliżu stolika, w chwili, gdy Adaś ten stolik potrącił, samowar się przewrócił i woda wrząca wylała się wprost na Manię.

Ach! co się tam działo, to już nawet opisać trudno. Dziecko straszliwie oparzone, prawie od przytomności odchodziło, krzyczało w niebogłosey. Mama przerażona pochwyciła ją na ręce, zerwała sukienki, kazała przynieść jak najspieszniej wody gulardowej, maczała płatki i przykładła do bolącego ciała. Nikt nie miał czasu łajać Adasia i pewnie żadne największe łajanie nie wywarłoby na nim takiego wrażenia, jak widok biednej siostrzyczki, która z jego winy tak okropnie cierpiała. Rozplakał się rzewnie, stanął w kątku, nie śmiał się zbliżyć do Mani, tylko zdaleka patrzył na nią z przerażeniem wielkiem.

Teraz dopiero Adaś poznał, jak słusznie mama



mówiła, że roztrzepanie może go doprowadzić do wielkiego nieszczęścia, żałował tego serdecznie, bardzo serdecznie. Nikt na niego nie zważał, wszyscy byli zajęci biedną Manią, posłano natychmiast po doktora, ale ten mieszkał o milę w miasteczku i parę godzin upłynęło, nim przyjechał. Przez cały ten czas Adaś nie ruszał się ze swojego kącika i ciągle tylko powtarzał, płacząc cichuteńko:

— O Boże, dobry Boże! zlituj się nade mną, pozwól, ażeby Mania wyzdrowiała, a już postanawiam poprawić się z tej okropnej wady roztrzepania. O Boże, nie karz mnie tak strasznie!

Przyjechał nareszcie doktor, obejrzał Manię, powiedział, że silnie bardzo jest poparzona, że długo cierpieć będzie, ale przy troskliwych staraniach pewnie z tego wyjdzie.

Tak się też stało, długo Mania chorowała, po nocach sypiać nie mogła, bo jej ból strasznie dokuczał, a gdy przychodzić zaczęła do siebie, była taka blada i mizerna, że serce się krajało, patrząc na nią. Adaś pewnie nie cierpiałby więcej, gdyby sam chorował i ból znosił na jej miejscu. Mama widziała ten szczery żal jego i nie łajała go nawet i później, gdy trwoga o Manię



już przeminęła, bo łajanie nie było potrzebne, skoro chłopczyk czuł tak głęboko swoją winę. Żadna mama nie łaje dzieci bez potrzeby, ale tylko dla własnego ich dobra. Mania wyzdrowiała na koniec zupełnie i zapomniała prędko o swoich cierpieniach, ale Adaś nigdy o tem nie zapomniał i raz na zawsze pozbył się roztrzepania. Chodzi odtąd po pokoju bardzo uważnie, a biega zwykle tylko po dziedzińcu, gdzie jest dużo miejsca, albo w pokoju wtenczas, kiedy niema ani samowara z wrzącą wodą, ani lampy zapalanej i nigdy przytem nie gawroni się na sufit, lecz patrzy przed siebie, jak wszyscy rozsądni ludzie.



## Niedrogi pistolet.

---

Adaś zobaczył raz u znajomego chłopczyka Ignasia prześliczny pistolet. Nabijał się korkiem, a gdy korek wylatywał, pistolecik pukał tak głośno, że mała Mania, siostrzyczka Adasia, aż krzyknęła z przestachu i uszki sobie zatknęła. Adaś nie bał się pukania, tylko wołał za każdym razem: „Paf! paf!“ i obaj z Ignasiem śmieli się z Mani, że taka jest bojaźliwa. Ignas opowiadał Adasiowi, że są jeszcze w sklepach inne pistoleciki, co się nabijają pistonami i głośniej pukają. Ale mama nie chciała mu takiego kupić, bo te pistony są bardzo niebezpieczne dla dzieci, mogą wyskoczyć z pistoleciku przy strzelaniu, okaleczyć, wpaść w oko, niejedno dziecko od tego oślepiło. Korek także strzela doskonale, a nie jest niebezpieczny.



Adaś przez kilka dni myślał ciągle o tym ślicznym pistoleciku i prosił mamy, żeby mu taki sam kupiła. Mama powiedziała, że teraz niema pieniędzy, bo musiała właśnie kupić nowe trzewiczki dla Mani, a dla Julci, starszej siostrzyczki Adasia, która już chodzi na pensyę, książeczki szkolne, nie zostało więc ani grosza na zabawki. Adaś nadał się brzydko bardzo, buzię nadał, czoło namarszczył, a gdy Mania przybiegła do niego i zapytała grzecznie o coś, on ją odtrącił i krzyknął.

— Idź sobie, nie dokuczaj mnie!

— Cóż to się stało Adasiowi, że w takim złym humorze? — zapytał wujcio, który na to właśnie wszedł do pokoju.

— Chciałby dostać pistolecik z korkiem — powiedziała mama — i tak ładnie prosi o niego.

Adaś zawstydził się okropnie, miał wielką ochotę płakać, ale się powstrzymał i pobiegł grzecznie przywitać się z wujaszkiem.

— Nie dziwię się wcale, że Adaś wzdycha do pistoletu — rzekł wujcio — bo i ja sam bardzo lubię pukać ze strzelby do zajęcy, do kuropatw; pif, paf! pif, paf! Wiesz co, chłopcze, gdybym tak wiedział, że nie będziesz już się napierał i dokuczał mamie, a potem żebyś przeprosił



mamę i Manię także za to, żeś tak niegrzecznie ją potracił, tobyśmy sobie zrobili pyszny pistolet papierowy.

— Papierowy pistolet!.. — rzekł Adaś kręcąc główką z niedowierzaniem — a jakże papier może strzelać?

— Głośniej daleko od pistolecika z korkiem — mówił wujcio — ale jeżeliś nieciekawy...

— O, wujciu! proszę zrobić pistolet.

— A cóż to ja powiedziałem? — odrzekł wujcio — pistolet zrobić, to fraszka, ale mówiłem, że zrobię, jeżeli ty... no cóż to ja mówiłem?

Adaś pobiegł pędem do mamy, pocałował ją w rączkę tak głośno, jak gdyby z pistoletu wystrzelił, potem schwycił Maniusię za szyjkę i wyściskał ją, powtarzając:

— Przepraszam, przepraszam, siostrzyczko, nie gniewasz się?

— Nie, nie, tylko mnie już puść — wołała Manusia.

— A teraz niechże wujcio pistolet zrobi — rzekł Adaś.

Wujcio wziął arkusz grubego, mocnego papieru, złożył go bardzo jakoś dowcipnie, potem długo dmuchał w ten papier, nadał go, jak pę-



cherz, podniósł, uderzył raptem o rękę i paf! papier naprawdę tak huknął głośno, prawie jak prawdziwy pistolet, daleko głośniej od pistolecika z korkiem. Adaś chciał sam spróbować, ale nie mógł żadnym sposobem tak dobrze nadać papieru, więc wujcio wystrzelił jeszcze kilka razy, aż wkońcu papier się rozdarł.

— E, to nie — powiedział wujcio — żeby się nam kupny pistolecik popsuł, toby go trudno było naprawić, ale papieru dosyć jest w domu.

I zrobił wujcio drugi taki papierowy pistolet, mniejszy troszkę, a Adasiowi nakoniec udało się nabić go i wystrzelić, nie tak głośno, jak wujciowi, ale zawsze nieźle.

— Mój wujciu, co to tam tak zabawnie strzela w tym papierze? — zapytał chłopczyk.

— Powietrze — odpowiedział wujcio — dmuchając w ten woreczek papierowy, napychamy tam dużo powietrza i jemu tam ciasno się robi w takiej ciupce, więc radeby się wydostać. Wiesz, jak papier wydyma się na wszystkie strony; to powietrze tak go naciska. Gdy ja raptem uderzę o rękę torebką papierową, nadętą mocno, otwierają się w niej szparki i powietrze szybko się wymyka, a przytem sprawia taki łoskot.



Adaś bawił się doskonale pistoletem papierowym, a gdy w miesiąc potem nadeszły jego imieniny, mama kupiła mu na wiązanie śliczny pistolecik z korkiem. Nie dostałby go był z pewnością, gdyby się był dłużej napierał, grymasił i nie przeprosił mamy wporę.



## Wojna z muchami.

---

Zygmuś był to grzeczny i dobry chłopczyk pięcioletni, miał oczki wesołe, błyszczące, twarzyczkę rumianą, ładne, uśmiechające się usteczka, miło było popatrzeć na niego, wszyscy go kochali w domu, rodzice, i bona, i służący. A jednak ten sam Zygmus czasem, gdy mucha mu na nos siadła, tak się odrazu zmienił, że trudno go było poznać. Oj, te muchy niedobre, ile to one szkody wyrządzają po domach, gdzie są dzieci! Bo muchy zwyczajne, co latają i brzęczą, latem tylko dokuczają ludziom, ale te inne, jak się gdzie wnącą, przez cały rok, czy wiosna, czy lato, czy jesień, czy zima, nigdy ich się pozbyć niemożna.

Miał i Zygmus taką muchę nieznośną, ona go do różnych brzydkich rzeczy namawiała. Cza-



sem zrana wstaje Zygmus, bona go zaczyna ubierać, a tu mucha pojawia się, nie widać jej, bo ona gdzieś tam dobrze schowana w nosku Zygmusia, ale zaraz można poznać, że już jest.

— Ja nie chcę czesać się grzebieniem! — woła naprzykład Zygmus — ja sam zaczeszę się szczotką, grzebieniem nie potrzeba, ja nie chcę.

Bona tłumaczy, że wszyscy czeszą się grzebieniem, że główka niezaczesaana wygląda bardzo brzydko, jak strzecha, a Zygmus sam nawet i szczotką zaczesać się porządnie nie potrafi. Nic to nie pomaga, bo mucha jest strasznie uparta, i jak podszeptnie Zygmusiowi jakąś niedorzeczność, on to razporaz powtarza, a zaraz przytem usteczka mu się wykrzywiają, czoło się namarszcza, oczki błyszczą inaczej, gniewem, nie wesołością, ani podobny ten Zygmus z muchą do grzecznego Zygmusia.

Jeżeli bona nie zważa na to i chce go koniecznie zaczesać, Zygmus zaczyna krzyczeć, wyrywać się, kręci główkę na wszystkie strony, a czasem tak się spłacze, jak gdyby to było coś bardzo złego czesać się grzebieniem.

— Ja nie chcę! ja nie chcę! — woła z całej siły — ja chcę, żeby moja głowa była taka, jak strzecha!



Zygmus wie dobrze, że to nierozsądnie, ale jak go taka brzydka mucha opanuje, w żaden sposób nie umie się jej pozbyć i robi wszystko, do czego ona go namawia.

Czasem Zygmus pobrudzi sobie czemś rączki przy zabawie, a tu dają obiad albo podwieczerek, bona woła go do drugiego pokoju, żeby rączki umył, bo to bardzo nieładnie brać chleb lub bułeczkę brudnymi rączkami. Ale mucha już jest i szepnie tylko Zygmusiowi, że umywać się nie trzeba, a on zaraz woła w niebogłosy:

— Ja nie chcę się myć, ja chcę mieć brudne ręce!

Raz zdarzyło się, że mama nie pozwoliła wieczorem Zygmusiowi wyjść do ogrodu, bo było zimno, a on trochę kaszlał. Toż dopiero robota była z muchą! Chłopczyk zaczął płakać, pobiegł do drzwi, próbował otworzyć, uderzył piąstkami z całej siły, a potem krzyczał tak głośno, że w całym domu go było słychać:

— Ja pójdę do ogrodu, ja koniecznie chcę pójść do ogrodu!

A gdy go rączki zaboląły od uderzenia o twarde drzwi, podniósł nóżkę, uderzył z całej siły, ale drzwi się wcale nie otworzyły, tylko Zygmus zatoczył się i upadł, jak długi, na podłogę. Stukł



sobie główkę i kolanko, krzyczał też i płakał z pół godziny, aż póki brzydka mucha nie odleciała. Wtenczas nasz Zygmus uspokoił się zupełnie, wróciła mu wesoła minka i bawił się bardzo grzecznie przez cały wieczór.

Raz przyjechała na parę tygodni do rodziców Zygmusia ciocia; Zygmus nie znał jej prawie, bo mieszkała daleko i rzadko kiedy z domu wyjeżdżała. Ciocia była bardzo wesoła, zaprzyjaźniła się prędko ze swoim małym siostrzeńcem, opowiadała mu ładne powiastki i bajeczki, bawiła się z nim wybornie, a Zygmus pokochał ją niezmiernie.

Przez trzy dni mucha ani pokazała się w domu, ale czwartego dnia pojawiła się niespodzianie. Zygmusiowi przyszło do głowy, żeby wozic po pokoju wózek z kamykami, a mama na to nie pozwalała, bo od tego wożenia był straszny hałas. Powiedziała mama, że taki wózek dobry tylko do ogrodu, w pokoju tak hałasować nie można. A mucha zaraz po swoim szepnięciu Zygmusiowi, żeby się uparł i mamy nie słuchał. Bardzo to brzydko, że dzieci wolą często słuchać takiej muchy, aniżeli mamy. Zygmus nie zawstydził się nawet cioci i dalejże wołać i krzyczeć:



— Ja chcę się wozic po pokoju, to nic nie szkodzi, że wózeczek stuka, ja chcę!

— Oho! — zawoła ciocia — to i u was, jak widzę, jest ta niedobra mucha. Znam ja się z nią dobrze, ale myślałam, że Zygmus ją umie wypędzać. To bardzo łatwo, ja zaraz pokażę, jak to się robi, o! nieraz ja już taką muchę pędziłam, ja tu ją wystraszę, obaczycie. Dajcie mi tylko parę gałązek.

Mama prędyutko podała cioci dwie gałązki, a były właśnie w pokoju świeżo zerwane do opezdania much zwyczajnych. Ciocia jedną podała Zygmusiowi, drugą sama wzięła, a chłopczyk przestał krzyczeć, bo ciekawy był bardzo, co to ciocia robić będzie. Ona zaczęła biegać po pokoju, potrząsając gałązką i wołała:

— A husz! ty niedobra mucho, a husz! a husz! Zygmusiu, pomóżże mi, pędź tę muchę; taki dzielny chłopczyk z ciebie, wstydz się, nie daj się musze. Pędźmy ją razem, obaczysz, że ucieknie.

I dobrze ciocia mówiła: jak tylko Zygmus wyskoczył na środek pokoju z gałązką i zaczął pędzić muchę, wołając za ciocią: „A husz! a husz!“ W tej chwili mucha odleciała. Potem zaraz ciocia zabrała wózek i odwiozła do ogrodu,



Zygmus popychał z tyłu, bo ciocia mówiła, że trzeba jak najprędzej ten wózek sprzątnąć, żeby mucha czasem nie wróciła, bo ona bywa strasznie uparta, wypędzi się ją drzwiami, a ona oknem wlatuje znowu.

Ale nie powróciła już mucha dnia tego, dopiero nazajutrz pojawiła się przy ubieraniu Zygmunia; na szczęście ciocia była w drugim pokoju, już ubrana, przybiegła zaraz z gałązkami, i z pomocą Zygmunia natrętną muchę wypędziła. Odtąd za każdym razem tak było: jak tylko mucha chciała dokazywać, natychmiast zabierano się do wypędzania, a po wyjeździe cioci, mama albo bona podawała jak najprędzej Zygmunowi gałązkę, a on machał nią na wszystkie strony i wołał:

— A husz! ty brzydka mucho! Idź sobie, a husz!

Ciocia wytłomaczyła także Zygmunowi, że to mucha uczy dzieci mówić: Ja chcę, ja nie chcę, bo grzeczne i posłuszne dzieci nigdy tego nie mówią, tylko o każdą rzecz proszą starszych, pytają, czy można to zrobić, czy można to wziąć, a jeżeli im odpowiedzą, że niemożna, nie napierają się wcale. Jak tylko Zygmunowi przyszła kiedy ochota mówić: ja chcę, albo ja



nie chcę, przypominał sobie zaraz, że to mucha go pewnie do tego namawia, i że to wstyd, aby chłopczyk rozsądny nie umiał się z taką muchą rozprawić i jej namowy słuchał.

Radzimy wszystkim dzieciom, ażeby spróbowwały tego sposobu na muchy, który się tak dobrze udał Zygmusiowi.



## Zimna woda.

Opowiadanie wujaszka.

---

Będąc jeszcze małym chłopczykiem, niczego się tak nie obawiałem, jak zimnej wody. Wstyd mi teraz przyznać się do tego, ale postanowiłem opowiedzieć wam całą prawdę o sobie. Pamiętam, jak piastunka moja, poczciwa Maryanna, różnych sposobów używała, aby mię namówić, żebym się grzecznie dał umyć i wytrzeć całe ciało zimną wodą.

— Patrz, patrz, Janeczku, papuga grzeczna nie płacze — mówiła Maryanna, wskazując na papugę — niechże i Janek nie płacze, bo to wstyd.

— Dziwo, że papuga nie płacze — odpowiadałem, wyrrywając się z rąk piastunki — czegoż ma płakać, kiedy jej nikt nie myje zimną wodą.



Maryanna nic już nie odpowiadała, tylko zwawo uwijała się z gąbką, umaczaną w zimnej wodzie, a ja za każdym dotknięciem krzychałem w niebogłosy. Muszę tu wytłomaczyć kochanym czytelnikom, ażeby się zanadto temu nie dziwili, że byłem jedynakiem. Dwaj starsi braciszczkowie moi i jedna siostrzyczka przed urodzeniem mojem jeszcze poumierali, więc byłem troszkę zanadto pieszczony. Dogadzano mi we wszystkim, tylko co do zimnej wody mama nie chciała ustąpić, bo tu szło o zdrowie ukochanego gagatka.

W domu naszym mieszkała także babcia, a i ona pieściła mnie tak samo, może jeszcze więcej od wszystkich. Płacz mój codzienny przy tem umywaniu sprawiał jej wielką przykrość, więc dnia pewnego wyprawiła Maryannę z pokoju, gdy nadeszła pora tej męczarni mojej, mówiąc, że ona sama Janka umyje.

— Ja nie chcę się umywać — wołałem przez płacz zwyczajem swoim — tylko twarz i ręce, ja nie chcę tej brzydkiej gąbki!

— Słuchajno, Janeczku — rzekła babcia — czy ty widziałeś portret dziadunia? Czy on ładnie wygląda na portrecie?

Czy ładnie dziadunio wyglądał? Ach, jak prześlicznie! Miał mundur ułański, pałasz przy



boku, w ręku trzymał czapkę karmazynową. Ile razy wchodziłem do pokoju babci, nie mogłem się napatrzeć na ten portret.

— Patrz, co ja tu mam dla ciebie — mówiła babcia i wyjęła z pod fartuszka cudną czapeczkę, zupełnie taką, jak u dziadzi i pałasić malutki. Ustroiła mnie w tę czapeczkę, pałasić dała w rękę, a ja ani spostrzegłem, że mię zaraz rozebrała do naga, jak to się zwykle robiło do umywania.

— Teraz dzielny z ciebie żołnierz, Janeczku — mówiła babcia — powinienes naśladować dziadunia. Żołnierz nie boi się niczego, no, dalej, śmiało, marsz, do ataku! Dzielny wojak nie cofa się nigdy, to hańba! Dziadunio walczył mężnie pod Saragossą, wnuk nie powinien się obawiać zimnej wody!

Babcia mówiła to wszystko tak uroczyście, że chociaż nie wiedziałem wówczas jeszcze nic a nic o Saragossie, uczułem jednak jakąś niezwykłą odwagę, pomaszerowałem śmiało do dużej miednicy, napełnionej zimną wodą i ani pisnąłem, gdy babcia gąbką umaczaną obmywała mnie należycie. Odtąd ile razy krzywiłem się do płaczu przy umywaniu, zaraz babcia ka-



zała mi wkładać czapczkę wojskową i pałasik  
brać do ręki, a natychmiast maszerowałem do  
ataku z dobrą miną. Tym sposobem oduczy-  
łem się tego brzydkiego tchórzostwa i pogodzi-  
łem się z zimną wodą.

---



## Temistokles.

---

Oleś pojechał na wakacje do cioci, na wieś, bawił się tam wybornie z braciszkiem ciotecznym Michasiem, a obu chłopczykom największą przyjemność sprawiało, gdy ciocia dała im jakąś prawdziwą robotę, czy to w ogrodzie, czy koło gospodarstwa.

Jednego dnia ciocia dała im dużą piłę, pokazała kilka zeschniętych gałęzi na drzewach, poleciła, ażeby je odpiłowali. Piła za ciężka była dla jednego, ale we dwóch Oleś z Michasiem doskonale ją podnosili i pierwszą gałąź odcięli prędko i bardzo zręcznie.

Ale potem nie wiedzieć o co się posprze- czali. Michaś mówił, że Oleś za nisko piłę trzy- ma, Oleś utrzymywał, że to właśnie Michaś za wysoko ją podnosił. Żaden ustąpić nie chciał,



skończyło się na tem, że porzucili robotę, rozeszli się nadasani, każdy w inną stronę.

Ciocia nadeszła w parę godzin później, myślała, że już wszystkie suche gałęzie pościanane, zdziwiła się też bardzo, widząc piłę leżącą na ziemi, chłopczyków nie było tam ani śladu. Spotkała nareszcie Olesia i zapytała, co to się stało.

— Proszę cioci, ten Michaś taki nudny, uparł się koniecznie...

— Co, co! — przerwał w tej chwili Michaś, który był w pobliżu i nadbiegł zaraz — niech mama nie wierzy, to on się uparł, nie ja.

— Ależ nie, ciociu, to nie ja, to on — powtarzał Oleś.

— Już ja tam nie wiem, który z was winien — mówiła pani Barska, ciocia Olesia, a mama Michasia — dość, że moja robota nie skończona. Muszę teraz odrywać ogrodnika od ważniejszych zajęć, bo trzeba koniecznie te suche gałęzie pościnać. Spuściłam się na was, pięknieście się popisali.

— Ale cóżem ja winien, moja mammo — mówił Michaś.

— Cioteczko, to doprawdy nie moja wina, Michaś taki kłótnik.



— To nie ja, ale ty kłótnik — wołał znów Michaś zaperzony.

— Obaj jesteście kłótniki i samoluby — rzekła pani Barska — zapomnieliście zupełnie o mojej robocie dla marnej swojej sprzeczki. Bylibyście mi przysługę zrobili, ścinając te gałęzie, ale wyście woleli dogodzić swoim niedorzecznym gniewom. Niezgodą można dużo złego wyrządzić i sobie, i innym ludziom; niech was Bóg broni, moje dzieci, od tego zgubnego nałogu w dalszem życiu. Czy wiecie, kto to był Temistokles?

— To był Ateńczyk, wielki wojownik, wódz znakomity z czasów starożytnych — zawołali obaj chłopcy jednogłośnie.

— Bardzo dobrze — mówiła pani Barska — ale ja wyliczać nie będę wojennych czynów Temistoklesa, opowiem tylko drobne zdarzenie z jego życia, które nawet i wam za naukę posłużyć może. Gdy niezliczone wojska Persów napadały na Greków, drobne państewka greckie, niezawsze zgodnie żyjące z sobą, zapomniały na ten raz o kłótniach, zebrały się razem, aby odeprzeć nieprzyjaciela wspólnemi siłami. Temistokles, znakomity wódz ateński, zaczął dnia jednego ważne jakies rzeczy przekładać wódzowi spartańskiemu. Temu się to nie podobało,



i do tego stopnia się zapomniał, że podniósł rękę na Temistoklesa. Cóżbyś ty zrobił, Michasiu, albo ty, Olesiu, gdyby który z was był na miejscu wodza ateńskiego? Oj, z pewnością skończyłoby się na strasznej kłótni i bitwie pomiędzy wodzami, a Persowie skorzystaliby z tego i pokonali łatwo wojsko bez wodzów.

— O, moja mamó, to zupełnie co innego... — mówił Michaś.

— Jak też ciocia może porównywać — dodał Oleś.

— Ba! kto przywyknie myśleć o sobie, kto nie umie ustąpić w małych rzeczach, nie potrafi się przewyciężyć i w ważniejszych. Temistokles jednak nie zapomniał o niebezpieczeństwie ojczyzny, swoją zaś osobę mało ważył w takiej chwili, odrzekł więc najspokojniej wodzowi spartańskiemu: „Bij, ale słuchaj!“ Łatwo się domyśleć, że tamten zawstydził się swej popędliwości i zamiast uderzyć tak zacnego i mądrego obywatela, podał mu rękę do zgody. Grecy połączonemi siłami zwyciężyli Persów.

Chłopcy spojrzeli na siebie, potem uściskali się serdecznie, pobiegli do roboty i w godzinę wszystkie suche gałęzie były poćcinane i uprzątnięte.



## K r ó l i k .

---

Wujaszek darował Maryni ślicznego, żywego królika, pod warunkiem, że sama będzie o nim pamiętała. Dobrze to bardzo, gdy dzieci opiekują się zwierzątkami, myślą o ich potrzebach i wygodach; ale nierozsądnie było ze strony Maryni, że chciała koniecznie swego królika trzymać w pokoju; kładła go na fotele, na kanapy, na łóżka i pozwalała mu wszędzie biegać. Mamy dnia tego nie było w domu, wyjechała w sąsiedztwo z tatką, a starej służącej Katarzyny dziewczynka za nie słuchać nie chciała. Katarzyna jednak bardzo słusznie mówiła, że królikowi żadnej się łaski nie robi, biorąc go do pokoju, bo jemu lepiej na dworze, on nie przywykł siedzieć w zamknięciu, a może dużo szkody zrobić w pokojach.



Tak się też stało: królik podarł pazurkami pokrycie na kanapie, fotel pobrudził okropnie jakimś jedzeniem, a mama powróciwszy wieczorem i zastawszy taki nieporządek w domu, rozgniewała się i zaraz nazajutrz rano kazała odesłać królika wujaszкови. Nic nie pomogły prośby a nawet łzy Maryni, mama powiedziała, że nie może się zwierzątkami opiekować, kto się z nimi obchodzić nie umie.

Dopiero w parę miesięcy potem, gdy Marynia przez cały ten czas była bardzo grzeczna i posłuszna, pozwoliła mama przynieść znowu tego samego królika. Ale dziewczynka była już teraz rozsądniejsza, trzymała go w szopce, tam kilka razy do niego chodziła, dawała mu jeść listeczki kapusty i inne jarzynki, stawiała czystą wodę w miseczce. Królik wykopał sobie norę w ziemi i bardzo mu tam było dobrze. Marynię tak poubił, bo go karmiła sama, że głos jej poznawał, jak tylko weszła do szopki, zaraz łebek z nory wystawiał.



## Co się robi z piasku?

---

Polcia jest bardzo dobra i rozsądna dziewczynka, wie, że mama nie ma pieniędzy na kosztowne zabawki, to też bawi się grzecznie czemkolwiek, lubi naprzykład przesypywać piasek w małych garnuszekkach glinianych. Raz właśnie kucharka kupiła dużo białego, wiślanego piasku u chłopaka i przyniosła dla Polci do pokoju całą miseczkę. Mama pozwalała bawić się suchym, czystym piaskiem, a Polcia uważa, żeby nie rozsypywać na podłogę.

Kostuś, o rok starszy braciszek Polci, umie już zabawić się książeczką z obrazkami, czyta nawet dosyć gładko wszystkie napisy i Polci nieraz coś wytłomaczy. I teraz właśnie oglądał obrazki, powtarzając sobie głośno, co z mamą czytał przy lekcyi dzisiejszej.



— Drzewo — mówił Kostuś — a co się z drzewa robi, wiesz, Polciu?

— O, wielka sztuka! — odpowiedziała dziewczynka — stoliki, szafy, krzesła; z drzewa mnóstwo rzeczy się robi.

— Drzewo jest bardzo pożyteczne — rzekł znów Kostuś, przewracając kartki swojej książeczki — i żelazo pożyteczne, z żelaza także mnóstwo różnych rzeczy robią. Ale ten twój piasek — dodał, patrząc na zabawę siostrzyczki — to do niczego niezdatny.

— Czemu niezdatny do niczego? ja tak lubię przesypywać piasek, on właśnie do tego zdatny.

— Wielkie rzeczy! — mówił Kostuś — do zabawy dla dziewczynek jest zdatny.

— No, i dla chłopczyków przecież — odrzekła Polcia — albożto chłopczyki nie mogą się także bawić piaskiem, jeśli chcą?

— Ale nie chcą — odparł Kostuś — co mi to za zabawa. Jeszcze latem, na dworze, to co innego, w pokoju tylko małe dzieci mogą tak przesypywać piasek z jednego garnuszcza w drugi.

— Małe dzieci! Jaki mi bardzo duży! Jeden



rok masz więcej ode mnie, za rok będę taka sama, jak ty.

— Nie, nie będziesz taka sama, bo ja przez ten rok urosnę i zawsze będę starszy od ciebie.

— E, co tam, czy to wstyd być małą? — mówiła Polcia, która nigdy z braciszkiem się nie sprzeczała długo, chyba czasem żartem — a piaskiem jednak się będę bawiła, cóż to szkodzi?

— Baw się sobie piaskiem, mnie to także nic nie szkodzi, tylko nie mów, że on jest pożyteczny. Piasek na nic niepotrzebny na świecie, nie wiem nawet, poco Pan Bóg tyle tego piasku stworzył.

— A czy tak bardzo jesteś pewny, mój Kostusiu, że piasek na nic niepotrzebny? — odezwała się mama, która z boku tej rozmowy dzieci słuchała.

— A do czegoż on jest potrzebny, moja mammo — rzekł Kostuś — kiedy z niego nic zrobić nie można, nawet bicza ukreć? Wczoraj stryjaszek mówił: z piasku bicza nie ukreć.

— Bicza nie ukreć, to prawda — mówiła mama z uśmiechem — ale z piasku robi się coś daleko pożyteczniejszego od bicza.

— Z piasku? A cóżto z piasku się robi, moja mammo? Nigdy o tem nie słyszałem.



— I ja także nie słyszałam, żeby z piasku co ludzie robili — zawołała Polcia i przybiegła do mamy, porzucając swoją zabawę — niech mamunieczka opowie, co to takiego z piasku się robi.

— Jak też wam się zdaje, moje dzieci — mówiła mama — czy szklanki, karafki, szyby w oknach, są pożyteczne?

— Szklanki, szyby? no, zapewne; ale niech mama wprzód opowie o tem, co to z piasku się robi — rzekł Kostuś.

— Właśnie też o tem chcę mówić. Z piasku robi się... zgadujcie! Nie możecie? no, to już powiem: z piasku robi się szkło.

— Z piasku szkło? — wołały dzieci, składając ręce z wielkiego podziwu. — Jakże to z piasku można szkło zrobić? mama chyba żartuje.

— Z czegoż więc, myślicie, że się szkło robi?

— Z czego? Alboż ja wiem? ja o tem nie myślałem nigdy — rzekł Kostuś.

— Ani ja także — dodała Polcia.

— Więc dowiedźcież się teraz, że szkło robi się z pięknego, czystego piasku.

— Ale jakimże sposobem?

— No, nie bardzo to łatwa sprawa, my tego zrobić nie potrafimy z tego piasku, kupio-



nego dziś od chłopaka. Trzeba najpierw piasek stopić na bardzo silnym ogniu, a wielki z tem jest kłopot, bo żeby się roztopił, muszą dodawać doń czegoś podobnego do popiołu, sody lub potażu naprzykład. Razem z takim popiołem piasek topi się na ciecż wodnistą, a wtenczas, wiecież, co z tem roztopionem szkłem robią, ażeby mieć szklanki, karafki i inne naczynia?

— Cóż takiego, mamuńciu?

— Z tej ciecży wydymają bańki, tak zupełnie, jak dzieci robią bańki z mydła.

— Ależto strasznie musi być gorące, oni się mogą oparzyć, ci ludzie, co to robią.

— To też nie robią tego dzieci, tylko robotnicy bardzo roztropni. Mają długie rurki i ostrożnie, pomaleńku dmuchają, a tak są wprawni, że robią tym sposobem te wszystkie naczynia, które my po sklepach kupujemy. Gdy szkło wydęte ostygnie, twardnieje i można je brać do użytku.

— Butelki, szklanki, to rozumiem — mówił Kostuś — ale jakże oni potrafią wydmuchać ogromną, płaską szybę. Z mydła tylko okrągłe, kuliste bańki się wydymają, wewnątrz próżne.

— Jest jednak sposób i na to — odrzekła mama — płaskie szyby tak się robią: wydymają najpierw ogromną, podługowatą bańkę,



niby rurę, potem, nie czekając, aż ostygnie, rozcinają ją przez środek, rozciągają i spłaszczają.

— A to dopiero dowcip! — zawołał Kostuś.

— Widzisz, widzisz — mówiła Polcia — teraz już nie powiesz, że piasek na nic niepotrzebny na świecie.

— Takie dmuchanie ustami jest jednak bardzo męczące — powiedziała jeszcze mama — to też niedawno wymyślono dowcipne przyrządy, które dmuchają w rurki za pomocą miechów, a tym sposobem ułatwiają pracę robotników. Przyrządy te są używane w większych fabrykach szkła, ale i dawniejszy sposób nie wyszedł jeszcze z użycia.

---



## Wszystkorusz.

---

- Władziu, nie rusz tego!
- Władziu, nie kładź tam paluszka!
- Zostaw to, Władziu!
- Ach! nieznośny wszystkorusz!

Takie wykrzykniki słychać było często w domu jednych państwa, rodziców Władzia. A nie był to wcale bardzo mały chłopczyk, ten Władzio, miał już ósmy rok, umiał czytać i pisać, uczył się nawet pilnie i dobrze. Domyślcie się pewnie, dlaczego go przezwano „Wszystkoruszem”. Władzio miał taki zwyczaj, że każdej rzeczy musiał dotknąć, wszędzie swoje łapki wścibić. Co on szkody tym sposobem robił w domu, to i opowiedzieć trudno, bo był przytem bardzo niezręczny i roztrzepany. Chwycić coś nieostrożnie, zepsuć, upuścić na ziemię i rozbić, to były



codzienne sprawki naszego Wszystkorusza. Nawet malutka Andzia, która dopiero mówić zaczynała, słysząc, że wszyscy w domu tak nazywali braciszka, jak tylko go obaczyła, wyciągała paluszek i wskazując na niego wołała:

— Sitkolus! Sitkolus!

Raz Władzio wbiegł do pokoju ojca i zobaczył na stole flaszkę kamienną odkorkowaną.

— Co też tam może być w tej flaszcze? — mówił Władzio sam do siebie — może jaki słodki syrop? A może to pachnie? trzeba powąchać.

I zwyczajem swoim wyciąga ręce, chwyta flaszkę, przechyla... I czarna struga wylewa się raptem na Władzia, bo flaszką była pełna atramentu. Ubranie poplamilo się na nic, ręce ze trzy dni były czarne, jak u murzyna, chociaż szorowano je mydłem rano i wieczorem, i twarzy trudno było odmyć, tak się zabryzgała atramentem. A co tam było szkody w pokoju ojca, to straszne rzeczy: potrzebne jakieś papiery załazy się atramentem, na podłogę nawet pociekły czarne strumienie, a wiadomo, że atrament niełatwo się odmywa.

Raz znowu zobaczył Władzio u mamy na komodzie pudełko tekturowe, zamknięte i różowym sznureczkiem obwiązane. W pokoju nie



było nikogo, więc chłopczyk nie namyślał się ani chwili, bo gdzieżby to on wytrzymał, żeby tego pudełka nie wziąć w swoje ręce. Przysunął krzesło do komody, aby mu było wygodniej, wdrapał się, rozwiązał pudełko i zdjął nakrywkę. Ale nie obaczył, tylko watę, i domyślił się odrazu, że tam coś było obwiniełego w tej wacie, pewnie coś bardzo ciekawego.

I Władzio zaczął śpiesznie grzebać się w wacie, natrafił na coś twardego, a wtem usłyszał szmer jakiś w drugim pokoju, spojrzął, bo się nastraszył, żeby kto nie nadszedł i nie wyłajał go porządnie. Odwracając się, Władek potracił niezgrabnie pudełko i sam się zachwiał, krzesło się przewróciło, on jak długi upadł na ziemię, a i pudełko spadło także z okropnym brzękiem. Władziowi nic się złego nie stało, tylko sobie trochę stłukł nosa, ale też zasłużył na to i nikt go nie żałował. Sam też nasz Wszystkorusz zapomniał o stłuczonym nosie, gdy zobaczył, jaką wielką szkodę wyrządził mamie. W pudełku była prześliczna figurka porcelanowa chińska, którą wujaszek przywiózł dla mamy w upominku aż z samych Chin, bo wujaszek był żeglarzem i odbywał dalekie podróże na morzu.

Sądzicie może, iż taki nieprzyjemny wypa-



dek poprawił psotnika? Gdzietam; płakał, przeproszał mamę bardzo szczerze, postanowił sobie nawet być rozsądniejszym, ale prędko zapomniał o wszystkim i broił dalej w najlepsze. Gdybyśmy chcieli wszystkie jego sprawki opisać, toby i miejsca w książeczce zabrakło.

Raz przyjechała w odwiedziny do rodziców Władzia ciocia, zabawiła parę tygodni, a gdy odjeżdżała, zaprosiła ich do siebie na wieś. Władzio od urodzenia mieszkał w Warszawie, jeździł czasem z mamą i ojcem do Wilanowa, do Skierniewic, ale nigdy dłużej na wsi nie bawił. To też ucieszył się niezmiernie, gdy mama powiedziała, że pojedą do cioci na kilka tygodni.

— Tylkoż pamiętaj, Władziu, żebyś był greczny i wstydu mi tam nie narobił — mówiła mama.

— O, ja będę greczny — odpowiadał chłopczyk, on zawsze obiecywał, że będzie greczny, tylko nigdy nie umiał dotrzymać słowa.

Ciocia mieszkała aż pod Lublinem, pojechali więc koleją do Lublina, a ztamtąd powozem. Mała Andzia spała prawie przez całą drogę na rękach piastunki, Władzio był uszczęśliwiony, bo pierwszy raz w życiu taką daleką podróż odbywał. Gdy zajechali przed ganek, ciocia wyszła



na ich spotkanie, potem poprowadziła zaraz kochanych swoich gości do jadalnego pokoju; stół już był nakryty i wnet podano do stołu.

Ciocia taka była dobra, że o wszystkim pamiętała; stało więc przygotowane dla Andzi wysokie krzeselko, piastunka usadowiła na niem dziewczynkę i sama za krzeselkiem stanęła, żeby jej dopilnować. Ale jakże się zdziwił nasz Władzio, gdy obaczył, że za jego krzeselkiem stanęła także jakaś wiejska dziewczucha i wsparła się na poręcz, tak zupełnie, jak gdyby chciała go doglądać. Kręcił się niespokojnie, patrzył, to na mamę, to na ciocię i spostrzegł, że obie uśmiechały się troszeczkę.

— Moja Jadwisiu — powiedziała wreszcie ciocia do mamy — będąc u was, widziałam, że nie trzymacie piastunki do Władzia, chociaż on bardzo jeszcze potrzebuje dozoru. Toż przy mnie zdarzyło mu się kilka wypadków, stłukł lampę, chcąc koniecznie palcami dotknąć klosza i przekonać się, czy kwiaty na nim są wypukłe. Przewrócił także ramkę z fotografią i szkło rozbił, a i niejedną jeszcze szkodę zrobił w domu. Niema na to innego sposobu, tylko trzeba, ażeby go ciągle piastunka pilnowała, tak samo, jak Andzi. Przyjęłam właśnie do tego Kasię na czas



waszej tu bytności, bo u mnie wszędzie na stolikach i komodach stoją różne kosztowne rzeczy, nie chciałabym, żeby to wszystko potłukło się i zniszczyło, nie radabym także, aby Władziowi co złego się stało u mnie, a o nieszczęście nie trudno, gdy kto ma takie brzydkie przyzwyczajenie. Kasię już nauczyłam, jak ma Władzia pilnować, ona go na krok nie odstąpi i będziemy spokojni.

Władzio poczerwieniał okropnie, łzy mu w oczach stanęły, wstrzymał się jednak i nic nie powiedział, bo sam czuł, że ciocia ma słuszość. Ale cóżto za wstyd okropny! Ta Kasia w ślad za nim będzie chodziła, chłopiec, co umie czytać i pisać, duży, ośmioletni chłopiec z piastunką! To straszne rzeczy! Władzio chciałby był schować się pod ziemię. A tu mama najspokojniej odpowiedziała cioci, jakby w tem wszystkim nic a nic dziwnego nie było:

— Dziękuję ci, droga Wandziu, za tę troskliwość dla Władzia. To prawda, że piastunka bardzo mu się przyda, ale w mieście trudno trzymać dużo sług, a i Andzia potrzebuje osobnej piastunki.

Władziowi nic przy obiedzie nie smakowało, chociaż wyborne różne podawali potrawy, kur-



częta z kompotem, leguminę z kremem, potem przynieśli przepyszne owoce. Już teraz nie cieszył się wcale, że na wieś przyjechał, bo jaka to już może być przyjemność z nieznośną piastunką, co krok w krok ma za nim chodzić?

Gdy wstano od obiadu, ciocia otworzyła drzwi do ogrodu. Cóżby to była za rozkosz pobiegać po takim ślicznym ogrodzie, podczas gdy starsi przechadzali się lub siedzieli w altance. Ale gdzie tylko biedny chłopiec się poruszył, wszędzie Kasia podążała za nim, a co chwila powtarzała:

— Ostrożnie, paniczku, żeby nie upaść i broń Boże sobie co złego nie zrobić.

Zawstydzony i zmartwiony, Władzio wrócił do pokoju, chciał się troszkę rozejrzeć po domu. U cioci wszędzie było ślicznie, na stołach, na konsolkach stało mnóstwo osobliwości, posążki, wyobrażające znakomitych ludzi, i bronzowe, i gipsowe, naczynka jakieś ze szkła i porcelany, piękne muszle. Bardzoby było przyjemnie oglądać to wszystko, żeby nie ta nieznośna Kasia, powtarzająca co chwila:

— Niech ino paniczek nic nie rusza, aby nie rozbić i nie popsuć.

Tak się to Władziowi uprzykrzyło, że nie



patrzył już na nic, usiadł w kącie na krześle i milczał nadąsany, ze spuszczone w ziemię oczyma. A wtem weszła piastunka z Andzią, dziewczynka wyciągnęła paluszek do braciszka, wołając:

— Sitkolus! Sitkolus!

To już tak rozłościło Władzia, że zerwał się i pięść pokazał małej siostrzyczce, zaraz jednak zawstydził się tego, bo cóż ona biedaczka była winna, powtarzała słyszany często wyraz, nie rozumiejąc go wcale. Nasz Wszystkorusz nie wiedział sam, co z sobą zrobić, gdy usłyszał turkot i po chwili do pokoju weszła ciocia z mamą i z obcą jakąś panią, która przyjechała w odwiedziny z sąsiedztwa i przywiozła z sobą dwóch synków. Jeden był w wieku Władzia, a drugi młodszy.

Ciocia własnych dzieci nie miała, więc umyślnie tę panią z dziećmi zaprosiła, ażeby Władzio miał towarzystwo. Chłopczyki zapoznali się bardzo prędko, Władek taki był rad tym gościom, że zapomniał o swoim zmartwieniu; ciocia pozwoliła dzieciom pójść bawić się do ogrodu, a obca pani powiedziała do swoich synków:

— Tylko nie odbiegajcie daleko, żebym was z okna widzieć mogła.



— Dobrze, mamuniu — odpowiedzieli chłopcyki i wyszli razem z Władziem do ogrodu. A za Władziem wysunęła się zaraz i Kasia z pokoju, gdzie tylko chłopczyk się poruszył, ona tuż przy nim stawała i co chwila powtarzała swoje:

— Ostrożnie, paniczku, ostrożnie.

— Czego ta dziewczyna tu chce? — zapytał wreszcie Zygmus, starszy z dwóch braci.

— Pilnuję tego paniczka, tak pani kazała — odpowiedziała Kasia z powagą.

— Co! ona ciebie pilnuje? czyż ty małe dziecko jesteś — rzekł, śmiejąc się młodszy braciszek, Adaś.

Władziowi już cierpliwości zabrakło, cały zaperzony obrócił się do dziewczyny i zawołał z gniewem:

— Idź sobie, ty nieznośna, ja nie potrzebuję, żebyś mnie pilnowała.

— Pani tak kazała — odrzekła Kasia, nie ruszając się z miejsca — zgodziłam się przecież za piastunkę do panicza.

— Piastunkę! — zawołali obaj chłopcyki ze zdziwieniem — to ty masz jeszcze piastunkę? Cha, cha, cha!

Nie mógł biedny Władzio znieść takiego wstydu, uciekł pędem do pokoju, zaraz przy



progu spotkał mamę, rzucił się w jej objęcia i szlochając cichuteńko, żeby go nikt nie posłyszał, mówił przerywanym głosem:

— Mamo, jedźmy do domu, ciocia taka niedobra, ja tu nie wytrzymam z tą nieznośną Kasią, jedźmy do domu!

— Nie możemy tak prędko powracać do domu, moje dziecko — odrzekła matka — ciocia nie jest wcale niedobra, ale przeciwnie, uprzejmie nas bardzo przyjęła, przykroby jej było, gdybyśmy niewiedzieć dlaczego odjeżdżali. A potem wiejskie powietrze potrzebne jest dla Andzi i dla ciebie, oboje tu zdrowsi będziecie.

— Ja nie chcę wiejskiego powietrza, ja chcę wracać do domu... — powtarzał ciągle Władzio nieutulony.

— Domyślam się, dlaczego tak jesteś niezadowolony — mówiła mama — wstyd ci, że ciocia tej piastunce kazała cię pilnować; i mnie także wstyd za ciebie, ale sam powiedz, mój Władziu, czy nie zasłużyłeś na to? Ciocia widziała twoje sprawki w Warszawie, cóż dziwnego, że się obawiała, abys jej dużo szkody w domu nie narobił. Sam powiedz, czy ciocia nie miała słuszności?

Władzio ciągle szlochał cichutko, a wtem



ciocia nadeszła i odrazu domyśliła się wszystkiego.

— Moja Jadwisiu — rzekła do mamy — trzeba już na dziś uwolnić Władzia od piastunki. Ci dwaj chłopczyki są bardzo rozsądni, ja sędzę, że i on będzie z nich brał przykład.

Potem ciocia stanęła we drzwiach ogrodu i zawołała:

— Kasiu, idź do garderoby, zawołam cię, jak będziesz potrzebna, tymczasem możesz pończochy cerować.

Władziowi lżej się zrobiło na sercu, gdy to posłyszał, otarł łzy, a ciocia odprowadziła go sama do ogrodu, do Zygmunusia i Adasia, mama została w pokoju z obcą panią. Zygmus i Adaś byli bardzo dobrze wychowani, nie dokuczali Władziowi, nie wspominali wcale o piastunce, chociaż domyślali się potrosze, co to znaczyło. Chłopczyki bawili się wybornie, goście dopiero późnym wieczorem odjechali.

— Cóż, Władziu, czy bardzo się na mnie gniewasz? — spytała ciocia, gdy sami zostali na ganku.

— Ja... ciociu... — i Władzio zająknął się, sam nie wiedział, co powiedzieć.

— Mój drogi chłopczyku — rzekła ciocia,



ściskając go czule — miałaś chwilę wielkiej przykrości, wierz mi, że i mnie także bardzo było przykro, ale obie z mamą postanowiłyśmy spróbować tego sposobu, aby cię od brzydkiego nałogu odzwyczaić. Chorzy muszą brać nieraz gorzkie lekarstwa, wady są szkodliwsze od chorób, i także często przykrych leków potrzebują. Nie wiem, czy już jesteś uleczony...

— O, ciociu, nigdy już, nigdy... — wołał Władzio, składając ręce.

— Nie przyrzekaj — przerwała mama — obietnice na nic się nie przydadzą. Staraj się postępowaniem swoim nas przekonać, żeś się poprawił. Jutro Kasia nie przyjdzie już czuwać nad tobą, zobaczymy, czy potrafisz sprawować się rozsądnie bez piastunki.

— O, mamuniu! — i Władzio nic nie mówił więcej, nie przyrzekał, ale postanowił szczerze i gorąco, że nie narazi się więcej na taki wstyd okropny. Czy dotrzymał słowa? Wiemy, że Kasia została w garderobie przez cały czas pobytu naszych znajomych na wsi; widać, że Władzio nie potrzebował piastunki. Czy wytrwał w swoim postanowieniu po powrocie do Warszawy, o tem nie mamy pewnych wiadomości,



słyszeliśmy tylko, że mała Andzia już teraz nigdy go nie nazywa „Sitkolus“, zapewne więc dziecina nie słyszy w domu tego brzydkiego przezwiska. To najlepszy znak, że Władzio już nie jest Wszystkoraszem.

---











## Sen Misi.

---

Mała Misia pojechała z mamą do Odessy; Odessa jestto miasto portowe nad morzem. Mama była trochę chora i doktor kazał jej kąpać się w morzu, a i Misia także kąpała się z mamą, bo takie kąpiele są bardzo zdrowe. Dziewczynka chodziła też często z boną na brzeg morza, patrzyła na okręty, na łódki, pływające po wodzie i wielką miała ochotę przejechać się na takiej łódce. Nieraz nawet wioślarze zapraszali ją, aby wsiadła, mówiąc, że niedrogo sobie kaza za to zapłacić, ale bona za nic nie chciała na to pozwolić w nieobecności mamy, a mama była cierpiąca i nie mogła się łódką przejeżdżać. Misia dąsała się za to na bonę, a nawet, aż wstyd powiedzieć, nadaśała się troszkę i na mamę, gdy ta powiedziała, że bez siebie nie pozwoli jej



wsiadać do łódki, i że trzeba poczekać z tem na tatkę, który miał także niezadługo do Odessy przyjechać. Dnia pewnego upał był wielki, mama powiedziała, że wieczorem dopiero można będzie wyjść na przechadzkę, a tymczasem kazała Misi siedzieć w pokoju. Rolety spuszczone, bo słońce strasznie przypiekało i ciemno było prawie w pokoju.

Misia usiadła na niskim stołeczku w kąciku i sen ją zmorzył taki, że co chwila oczki musiała przecierać, ażeby nie usnąć na dobre.

Zaczęła też sobie dziewczynka myśleć o tem, jakby to było przyjemnie płynąć łódką po morzu i jaka to wielka szkoda, że mama na to pozwolić nie chce. I przyszła Misi do głowy myśl bardzo niemądra. Czemużbym ja nie miała wsiąść do łódki tak, żeby mama nie wiedziała?

A pomyślawszy to, nasza Misia wstała cichuteńko, włożyła kapelusik, wzięła do ręki ładny parasolik, który jej mama kupiła w Odessie i wyszła niepostrzeżona z pokoju do sieni, a z sieni na ulicę. Pobiegła szybko aż na wybrzeże, patrzyła, czy niema łódki gdzie bliżutko, i czy wioślarz nie będzie jej zapraszał, jak to zwykle bywało. Ale rzecz dziwna, nie widać było nigdzie, ani okrętów, ani łódek, ani wioślarzy. Za



to przy samym brzegu morskim stał niewielki cebrzyk drewniany i Misia pomyślała sobie, że możnaby wybornie się przejechać w tym cebrzyku, tak zupełnie jak w czółenku. Jak pomyślała, tak zrobiła: spuściła cebrzyk na wodę a potem hop! skoczyła do niego, rozłożyła parasolik nad głową i popłynęła chyżo na pełne morze.

Malutki statek Misi pędził, jak strzała po falach, dziewczynka ~~wydz~~ wydziwić się temu nie mogła, bo nie miała wiosła, a żeglarze przecież zawsze wiosłami łodzie popychają. Ale pomyślała, że to pewnie parasolik pędzi czółenko, tak jak żagiel.

Już i brzeg zniknął z oczu Misi, widziała tylko rozległe morze dokoła a wtedy troszeczkę jej się straszno zrobiło. Chciałaby była już wracać, ale nie wiedziała, jakim sposobem zwrócić czółenko. Aż tu wiatr nagle się zerwał, cebrzyk okropnie podskakiwał, to znowu zanurzał się głęboko, Misia zaczęła krzyczeć, bo wiedziała, jaka to straszna jest rzecz burza na morzu. A tu ona sama jedna płynie w czasie burzy.

Wicher zawył jeszcze okropniej, cebrzyk przechylił się! Misia już miała wpaść do wody, puściła z ręki parasolik i zawołała raz jeszcze



żałośnie, choć wiedziała, że nikt jej usłyszeć nie może:

— Mamo! Mamuniu! Panno Emilio, ratujcie!

— Cóżto ci się stało, moje dziecko? — odpowiedział niespodzianie głos mamy — musiało ci się przyśnić coś strasznego.

I Misia otworzyła oczki, a tu mama stoi przy niej, trzyma ją za rączkę, ona zaś leży na podłodze, z główką opartą o stołeczek mamy pod nogi. O, co za radość! To wszystko jej się tylko przyśniło, ona spała w pokoju, nie płynęła wcale w cebrzyku.

Misia opowiedziała mamie okropny swój sen i postanowiła czekać cierpliwie przyjazdu tatki, i nie napierać się przejażdżki łódką po morzu.

---



## Nauki Czubatki.

---

Była śliczna kura biała z ogromnym czubem, nazywała się Czubatka. Przechadzała się raz Czubatka po dziedzińcu folwarcznym, co zobaczyła ziarnko na ziemi, to je dzióbnęła i szła dalej. A wtem przebiegła obok niej młoda kokoszka Krasnopiórka, tak nazwana, bo miała ładne piórka jaskrawe. Czubatka przystanąła, potrząsała swoim pysznym czubem i zawołała:

— Koko, kokoko, koko!

A Krasnopiórka zatrzymała się także i na odpowiedź wykrzyknęła:

— Koko koko! kokokoko!

To, co powiedziała Czubatka, miało znaczyć w języku kur:

— Co za rozstrzepaniec z ciebie, moja kra-



snopiórko; gdzież to biegałaś? Widziałam cię aż przy budzie Burka.

A Krasnopiórka odrzekła:

— Bo tam były okruszynki chleba, ciociu Czubatko i ja je pozbierałam. Ale nieznośny ten Burek, wyklóciłam się z nim porządnie.

— O cóżeś się ty z Burkiem kłóciła? To poczciwe psisko, nic nam złego nie robi.

— Ale śmieje się ze mnie ciągle, ciociu, a ja tego nie lubię. Ot i teraz zobaczył, że ja dzióbnię piasek i połykam razem z okruszynami chleba, więc dalej żartować ze mnie: „Ach, co to za niemądre stworzenie, te kury, żeby jeść piasek. One nawet tego nie rozumieją, że w piasku żadego pożywienia niema, więc pocóż to jeść?”

— Cóżżeś ty mu na to odpowiedziała?

— Powiedziałam, że on sam niemądry, bo skoro tak wszystkie kury robią, nawet i najstarsze, i najrozumniejsze, to musi to być na coś potrzebne.

— Widzisz, moja Krasnopiórko — rzekła poważnie Czubatka — zamiast się gniewać, lepiej było wytłómaczyć Burkowi, dlaczego to ptaki piasek i żwir przelękają z jedzeniem.

— A kiedy ja i sama nie wiem, dlaczego.



— Boś jeszcze młoda i niewiele umiesz. Na drugi raz, jak się spotkasz z Burkiem, to mu powiedz: Acan masz dobre zęby, wszystko niemi przegryzasz, dziwo, że nie potrzebujesz jeść piasku. My ptaki musimy połykać twarde ziarna, cóżby to było, żeby one tam w całości siedziały w żołądku? Ale umiemy sobie radzić, przelykamy zarazem ziarnka piasku i żwiru i tam w naszym żołądku robi się prawie, to samo, co we młynie: twarde te odrobiny kamyczków rozcierają pokarmy, jak kamień młyński zboże na mąkę przerabia.

— O, jak to dobrze, że mi to ciocia opowiedziała.

— Kukuryku! kukuryku! — ozwał się w tej chwili chrapliwy głosik. Był to braciszek Krasnopiórki, młody kogucik Koralik.

— Jak się masz, Koraliku — rzekła Czubatka — jeszcze cię dziś nie widziałam, tak ciągle biegasz, co to też z ciebie za latawiec.

— Ach, ciociu Czubatko — mówił Koralik, — dziś miałem aż dwa pojedynki z temi kogucikami z drugiego podwórka. To dopiero tchórze, hołota! Jeden naprzykład, niech ciocia sobie wyobrazi, gdym go porządnie dzióbnał parę razy, zaczął uciekać, schował się w chwasty pod pło-



tem, ja go szukam na wszystkie strony, a on dawaj kwokać, jak kura, myślał, że mnie zwiedzie.

— Jaki też to złośnik z ciebie, mój Korali-  
liku — odezwała się Krasnopiórka — poco ty  
się tak ustawicznie bijesz z innemi kogucikami?  
Co one tobie złego robią? Ten Złotaszek z dru-  
giego podwórka bardzo jest miły i dobrze wy-  
chowany.

— Ty się znasz! Ach, te kokoszki takie  
są niedorzeczne! — zakrzyknął Koralik — już  
ja mu dam, twemu Złotaszkowi.

— Zostawże to — mówiła Czubatka — do-  
brze bardzo, że jesteś odważny i nie uchylasz  
się od pojedynków, nie trzeba jednak przebierać  
miary. A jak też ci się głos wyrabia, nieźle już  
piejesz, niezadługo będzie z ciebie wcale czu-  
purny kogucik.

— Alboż to ja i dziś nie czupurny? Toż nie  
jestem już dzieckiem, sześć miesięcy kończę.

— Tak samo, jak i ja — dodała Krasno-  
piórka.

— No, zapewne — mówiła Czubatka —  
powinnibyście już mieć rozum, a tymczasem za-  
wsze wam jeszcze obojgu pstro w głowie.

— A ciocia bo ciągle znów tylko gderze —  
rzekł Koralik — dziwo, że nie jesteśmy tacy sta-



teczni i poważni, jak ciocia, co już ma pewnie z dziesięć lat.

— Co, co! — przerwała Czubatka z oburzeniem — ten smarkacz ma mnie za jakąś zgrzybiałą kwokę; dziesięć lat! Ja jeszcze przecież i ośmiu nie mam.

— Niechże się ciocia nie gniewa — odezwała się Krasnopiórka — ja sama myślałam, że ciocia jest już bardzo sędziwa. Pamięta ciocia, jak to kiedyś gospodyni zabrała parę kur i kilkanaścioro kurcząt do kuchni. Ja się okropnie przestraszyłam, bo mi się zdawało, że i ciocia na tę straszną rzeź poszła. Ale mnie ta szara kwočka uspokoiła, powiedziała, że ciocia już za stara na pieczyście i że chyba ciocię kiedy ugotują na rosół, jak kto zachoruje we dworze.

— Niech im tam wszystkim Pan Bóg daje zdrowie — szepnęła Czubatka z westchnieniem.

— Oj, żeby nie ta kuchnia, toby dobrze było na świecie, — rzekł Koralik — za mną już raz kuchcik gonił, ach, jak gonił! Ale schowałem się za płotem, a on złapał jakąś kokoszkę niebogę. Taki byłem przestraszony, jeszcze mnie jakiś wróbelek wyśmiał. „A to czemuż nie umiesz latać, mówił, co to z was za ptaki, że latać wysoko nie umiecie. Mnieby tam żaden



kuchcik nie dogonił“. Bo też doprawdy, ciociu Czubatko, nieraz sobie myślałem: czemu to my latać nie umiemy jak inne ptaki, chociaż mamy skrzydła?

— Ach, prawda, czemu? — powtórzyła Krasnopiórka.

— Co też wam w głowie, dzieci — odrzekła Czubatka, podnosząc główkę do góry i potrząsając wspaniałym czubem — chciałybyście być podobne do wszystkich innych ptaków. Prawda, że my kury nie latamy tak wprawnie, jak wróble, jaskółki, pliszki; ale jakże my zato ogromnie się różnimy od tego ptasiego pospólstwa, od tego gminu! Żebyś wiedział, Koraliku, w jakiej nędzy te biedne ich pisklęta na świat przychodzą, tobyś pewnie nie chciał być do nich podobny. Krasnopiórka, co ma takie litościwe serduszko, przestraszyłaby się, żeby zajrzała do gniazda wróblicy lub sikorki.

— Jakże one wyglądają, te nieszczęśliwe pisklęta, ciociu Czubatko?

— Wyobraź sobie, że biedactwa wykluwają się z jajek nagie, bez piórek, ślepe, w niczem sobie poradzić nie umieją. Dlatego to rodzice muszą dla nich takie wygodne gniazdeczka budować, a ile te mateczki mają z niemi kłopotu,



nim je trochę odkarmią. Pamiętacie, jak wy oboje wraz z całym rodzeństwem wykluliście się z jaj? Takie z was były żwawe kurczątko, a oczęta wasze błyszczały, jak pacioreczki. Biegałyście zaraz za matką, zbierały różne okruszyny, aż miło było patrzeć.

— Biedneż te pisklęta — mówiła Krasnopiórka.

— Czego biedne? — zawołał Koralik — wyrastają przecież z tej ślepoty i opierzają się prędko, a potem fruują sobie tak prześlicznie w powietrzu i kuchcików się nie boją.

— Alboż to myślisz, że w powietrzu niema także różnych rabusiów, gorszych jeszcze od kuchcików? A jastrzębie, kruki i inne jeszcze drapieżniki — rzekła Czubatka.

— Złotaszek! Złotaszek! — wykrzyknął Koralik — ja mu tu dam! nie schowa się teraz przede mną — i pomknął, jak strzała, za drugim młodym kogucikiem, a Krasnopiórka pobiegła przypatrzeć się bitwie. Czubatka kiwnęła czubem w milczeniu i dalej przechadzała się poważnie po podwórku.



## K a s i a.

---

Dziewięcioletnia Kasia mieszka na wsi, jest córką ubogiej wyrobnicy, wdowy Wincentowej. Inne dziewczynki w wieku Kasi, w dostatkach wychowane, zwykle po odrobieniu krótkich lekcyj, bawią się przez dzień cały lalkami; ona biedaczka lalki nigdy w życiu nie miała, może nie widziała nawet, na zabawę bardzo mało czasu zostaje jej od roboty. A ta robota Kasi, to wcale nie jest lekcya z mamą lub nauczycielką. Mama jej od samego rana idzie na zarobek, bo inaczej nie byłoby co jeść w domu; Kasia musi przez ten czas dopilnować małego braciszka, rozpalić ogień i jedzenie ugotować. Dla was, szczęśliwe dziewczątka, które to czytacie, udawanie mateczek przy lalkach, jest zabawą; Kasia nie udaje, lecz naprawdę zastępuje mateczkę braciszкови. Patrzcie, jak troskliwie go











karmi. Ledwo może utrzymać na kolanach tego, ciężkiego chłopca. Burek radby także pokosztować dobrej poleweczki, ale czeka cierpliwie, nie dokucza Kasi, nie przeszkadza, widocznie rozumie, że małą gosposię szanować trzeba.



## Straszna przygoda Wąsatka i Pacioreczki.

---

Była sobie myszka, miała dużo dzieci, aż sześcioro, ale różne je spotykały nieszczęścia. Jedno porwała sowa o zmroku, drugie schrupał drapieżny kot czarny, a dwoje zginęło razem, zabiła je spadająca z wysoka kłoda drewniana, pozostało więc tylko dwoje przy życiu. Myszka ta mieszkała przez całe lato w stodole, miała tam dosyć żywności dla dziatwy i siebie, bo do stodoły zwożono rozmaite zboże.

Lecz przyszła jesień, zimno, myszka pomyślała sobie, że lepiej będzie przenieść się na jakieś wygodniejsze mieszkanie. Przywołała dzieci, aby im o tem oznajmić. Synek nazywał się Wąsatek, a córka Pacioreczka, bo miała śliczne oczki błyszczące, jak paciorki. Były to



już myszki prawie dorosłe i dosyć roztropne, tylko niedoświadczone jeszcze, bo mało znały świata, siedząc ciągle w owej stodole.

— Moje dzieci — rzekła myszka mateczka — dziś przeniesiemy się na nowe mieszkanie do dworu.

— O, co za szczęście! — zawołała Pacioreczka i z wielkiej radości przewróciła koziółka. Wąsatek, nie taki żywy, jak siostrzyczka, kręcił tylko wąsikami i ogonkiem, jego także ta wiadomość bardzo ucieszyła.

— Nie wiem, dlaczego to ma być znów tak wielkie szczęście — rzekła stara myszka, ja już mieszkałam we dworze zeszłej zimy, nic tam nadzwyczajnego niema, a pełno niebezpieczeństw. Dlatego też wyniosłam się do stodoły; niestety! i tu nie ustrzegłam się srogich nieszczęść... — i biedna mateczka otarła ogonkiem parę łez, bo przypomniała sobie utracone dzieci.

— Ej, co tam myśleć o niebezpieczeństwach, mamusiu — rzekła Pacioreczka — a raz przecież obaczymy coś nowego.

— To prawda, że tu strasznie nudno w tej stodole — odezwał się Wąsatek — ja już nieraz zamyślałem puścić się w świat, tylko mi żal było rzucać mamusię.



— We dworze będziesz miał co widzieć — mówiła myszka mateczka — byleś był ostrożny. Otóż poto właśnie was przywołałam. Ja dobrze znam świat, mieszkałam już w różnych miejscach, mam dużo doświadczenia, słuchajcie tylko słów moich uważnie, nie zapominajcie o przestrofach, a wielu strasznych niebezpieczeństw potraficie uniknąć.

— Mamusiu, ja się boję, nie idźmy chyba do tego dworu, jeżeli tam jakieś okropne są rzeczy — mówiła Pacioreczka, przytulając się do matki.

— Ach! co to za tchórz z tej Pacioreczki — wołał Wąsatek — a więc zostań ty sobie sama w stodole.

— Nie sprzeczaście się, dzieci, niema o co — rzekła matka — do dworu przenieść się musimy, bo tu zginiemy z zimna i głodu. Gospodarz sprzedał wszystko zboże i jeszcze kazał powymiatać stodołę jaknajstaranniej, nie wiedzieć poco, byle biedne myszy nie miały się czem pożywić. Oj, ci ludzie! to najstraszniejsi nasi wrogowie. Oni to trzymają i hodują koty, umyślnie po to tylko, ażeby nas dusiły, bo koty im zresztą na nic nie są potrzebne. Ale nie na tem koniec, ci niegodziwi ludzie obmyślają jeszcze



różne sposoby, aby nas zabijać i tępić. Starsze myszy opowiadają o tem rzeczy przerażające. Nieraz naprzykład leży sobie gdzieś przepyszny kawałeczek słoninki, pachnący, smakowity, biedna myszka skrada się, zaczyna chciwie zjadać, aż tu paf! dzieje się coś okropnego, sły-chać trzask, łoskot niepojęty, jakaś krata zapada i myszka jest uwięziona.

— I cóż dalej, mamusiu? — pytała Pacio-reczka cała drżąca.

— Co dalej — powtórzyła stara myszka ze smutkiem — przychodzą ludzie i bez litości mordują nieszczęśliwych jeńców. Otóż pamiętajcie o tem, moje dzieci, bądźcie ostrożne. Słoninka jest to rzecz dobra i zdrowa, możecie ją zjadać do woli, pamiętajcie tylko o tem, że to wszystko, co nam przychodzi bez żadnego trudu, rzadko kiedy prawdziwą korzyść przynosi, częściej daleko szkodę. Jeżeli wam się uda wleść po długich mazołach do szafy spiżarnianej, lub wydrapać się po ścianie aż na półkę, gdzie chowają słoninkę, wtenczas spokojnie możecie się pożywić. Radzę wam jednak nie łakomić się na żaden przysmak, jeżeli będzie gdzieś leżał tuż pod nosem i obaczycie, że można się do niego dostać bez najmniejszej przeszkody i bez



trudu. Uważajcie dobrze, czy niema w tem jakiej zdrady.

— Już niech mateczka się nie boi, nie tak to łatwo mnie w pole wyprowadzić — odezwał się Wąsatek.

— Nie trzeba być zarozumiałym, mój synu, a na rady starszych zawsze pamiętać — rzekła matka.

— Ach, matuniu, nigdy jeszcze w życiu słoninki nie jadłam, a to musi być takie wyborne; tyle razy o tej słonince słyszałam od różnych myszek — mówiła Pacioreczka, oblizując się.

I przeniosły się myszki do dworu, znalazły sobie bardzo wygodne mieszkanie w spiżarni, w dziurce pod podłogą. Zaraz pierwszego dnia Pacioreczka dobrała się do słoninki, a napracowała się niemało, nim się po ścianie wygramoliła wysoko, nim potem wyszukała szparkę w szafie, którą się do środka wcisnęła. Ale jak jej też smakował upragniony przysmaczek!

Na drugi dzień oboje z Wąsatkiem pobiegli zwawo wzdłuż ściany i natrafili na jakieś drzwi otwarte, przeskoczyli przez próg i dostali się do pustego, dużego pokoju. Był to skład różnych gratów. A wtem posłyszeli głos mysi i obaczyli jakąś obcą myszkę, która na nich wołała:



— Chodźcie no, chodźcie, zapraszam was na ucztę. Jest tu ogromny kawał słoniny, a taki wyborny. Najemy się wszyscy i dla innych myszek zostanie.

Myszka, która to mówiła, siedziała sobie w małym domeczku drucianym i zajadała słoninkę.

— Ale jakżeś ty tam weszła? — spytała Pacioreczka.

— Nic łatwiejszego — odrzekła tamta — u góry jest wejście bardzo wygodne. Przecież choć raz ci niegodziwi ludzie nie schowali słoniny od nas i można się do niej dostać bez żadnego trudu.

Wąsatek natychmiast zaczął się drapać po drucikach do otworu, Pacioreczka go chciała wstrzymać, mówiąc:

— Pamiętaj, Wąsatku, co mówiła mateczka, że to wszystko, co przychodzi bez trudu, jest niebezpieczne.

— Cha cha cha! — zaśmiała się owa obca myszka — to wy jeszcze takie małe dzieci jesteście, że uważacie na to, co mówi mateczka? Boicie się nawet słoninki dotknąć bez pozwolenia?

Wąsatek zawstydzony i chcąc pokazać, że nie jest wcale małym dzieckiem, wskoczył żwawo



do domku i zaczął ze smakiem zajadać słoninę. Pacioreczka jeszcze się wahała, ale słoninka pachniała tak ślicznie... więc i ona poszła za przykładem braciszka. Biedna myszka mateczka darmo dnia tego wyglądała powrotu Wąsatka i Pacioreczki. Nieroztropne myszki zginęły marnie, bo zapomniały o radach i naukach dobrej matki.

---



## G r z y b y.

---

Józio był dobry i grzeczny chłopczyk, ale zdarzało mu się czasem nie usłuchać mamy wtenczas, gdy jej nie było w pokoju, gdy widzieć tego nie mogła.

— Mama się nie dowie i gniewać się nie będzie — mówił sobie nierozsądny chłopczyzna, bo on myślał, że to dlatego tylko mamy słuchać potrzeba, ażeby się nie gniewała. Nie wiedział o tem, że rodzice takich rzeczy tylko zabraniają dzieciom, które im mogą zaszkodzić.

Mama nieraz powtarzała Józiovi, żeby nigdy nie jadł nic, nie zapytawszy jej, czy można, a Józio był troszkę łakomy. Czasem wbiegał do kuchni, chwycił różne rzeczy i kosztował, a ile razy mama to zobaczyła, zawsze go wyłajała.

Raz mama wyszła z domu, bona czytała



ze starszą siostrzyczką Józia, a on bawił się w drugim pokoju. Wtem doleciał go jakiś przyjemny zapaszek z kuchni, wstał cichutko, tak, że bona tego nie spostrzegła i poszedł do kuchni, chociaż mama zabraniała tego. bo w kuchni bardzo łatwo może się dziecku zdarzyć jakiś przypadek.

Kucharka Małgorzata wykladała właśnie z rondla na miskę jakąś potrawę, która taki miała zapach.

— Co to takiego, Małgorzato? — zapytał Józio.

— To grzyby; niech Józio sobie idzie, bo pani nie pozwala do kuchni chodzić.

— Czy to na obiad te grzyby? — zapytał Józio i ani myślał odchodzić.

— Nie, to ja dla siebie zgotowałam, do stołu będzie inna jarzyna — rzekła kucharka.

— To szkoda — powiedział Józio — bo to musi być doskonałe. Daj mi pokosztować, Małgorzato.

— A pójdzie sobie Józio, jak pokosztuje? — spytała kucharka, bo chciała go się pozbyć jak najprędzej.

— Pójdę zaraz, pójdę, tylko daj mi tro-



szeczkę pokosztować — mówił chłopczyk, obli-  
zując się i ślinkę połykając.

Nierozsądna kucharka pozwoliła mu zjeść  
parę grzybów, bo także pomyślała sobie:

— Ej, cóż tam, pani niema w domu, to  
się i nie dowie... Józio odszedł i znowu zaczął  
się bawić, bona nic nie spostrzegła; mama na-  
deszła wkrótce i kazała obiad podawać. Przy  
obiedzie mama spostrzegła, że Józio nic nie je,  
a wkońcu i chłopczyk zaczął się skarżyć, że go  
strasznie mdli, musiał wstać od stołu i dostał  
silnych wymiotów.

Mama się nastraszyła, zapytała zaraz, czy  
nie zjadł czego niedobrego. Na szczęście Józio  
nie umiał kłamać, więc zaraz się przyznał, że  
jadł grzyby w kuchni. Dopieroż mama strwożyła  
się jeszcze więcej, bo grzyby bywają czasem  
trujące. Poszła mama zaraz do kuchni i zastała  
Małgorzatę także okropnie chorą. Posłano na-  
tychmiast po doktora, i Józio i Małgorzata mu-  
sieli brać bardzo brzydkie lekarstwa i długo cho-  
rowali, a doktor powiedział, że to wielka łaska  
Boża, że się na śmierć nie struli brzydkimi  
grzybami. Szybki ratunek ich uratował. Mama  
chciała odprawić Małgorzatę, gdy wyzdrowiała,  
ale wkońcu dała się przeprosić, bo Józio prosił



serdecznie o przebaczenie dla niej, mówiąc, że on sam tu był winien, bo się naprzykrzał Małgorzacie i ona go się pozbyć nie mogła.

Józio od tej pory był już zawsze posłuszny, nawet i wtenczas, gdy mama tego nie widziała, a łakomstwa wystrzegał się bardzo i nigdy nic do ust nie wziął, póki mama nie powiedziała, że można.

---



## Przestrach cioci Wańdzi.

---

— Moja ciociu, czy są naprawdę na świecie takie teatrzyki, gdzie zamiast aktorów występują uczone zwierzęta, małpki, pieski, koniki małe? Ignaś mówi, że jego brat stryjeczny, co jeździł z rodzicami za granicę, widział tam teatrzyk taki i ciekawe bardzo rzeczy o nim opowiadał.

Tak mówiła mała Halinka do swojej cioci, a ta dziwnie się na to uśmiechnęła i rzekła:

— Ach! przypomniałaś mi śmieszne zdarzenie z mojego dzieciństwa. Przyjeżdżał tu kiedyś i do Warszawy Niemiec z teatrzykiem podobnym, jeszcze ja wtenczas byłam małą Wańdzią, taką prawie, jak ty dziś i nie o wiele rozsądniejszą.

— I widziała cioteczka ten teatrzyk? I coś



śmiesznego przytrafiło się cioci? O! niechże ciocia kochaneczka to wszystko opowie.

Ciocia Wańdzia nigdy swojej siostrzenicze nie odmawiała, zaraz też usiadła obok niej i mówiła w te słowa:

— Pewnej niedzieli latem, w prześliczną pogodę, wracając z kościoła, poszłam z rodzicami na przechadzkę do Saskiego ogrodu, a tam spotkaliśmy znajomych, którzy rodziców zaprosili do siebie. Ci państwo nie mieli dzieci, więc ja się tam zawsze trochę nudziłam i mama pozwoliła mi pójść do mojej koleżanki, mieszkającej blisko, na tej samej ulicy. Nie miałam wprawdzie zwyczaju sama po mieście chodzić, ale to było przecież tak niedaleko; wiedziałam, że Lunię w domu zastanę, bo nie wychodziła jeszcze po jakiejś chorobie. Mama powiedziała mi tylko: „Idźże, Wańdziu, nie zatrzymując się i nie oglądając, a jak wejdiesz na wschody, pociągnij mocno za dzwonek, żeby usłyszeli.“ Poszłam więc z radością wielką, że to ja tak zupełnie jak osoba dorosła sama sobie wędruję, już dochodziłam do kamienicy, gdzie mieszkała moja przyjaciółka, gdy nagle usłyszałam za sobą dziwny pisk jakiś. Nie był to głos psa ani kota, coś nieznanego, czego nie słyszałam nigdy, mimowoli



obejrzałam się, choć mama mówiła: nie oglądaj się, ale to przecież był wypadek nieprzewidziany i mama byłaby się obejrzała z pewnością na mojem miejscu. Ach! moja Halinko, co ja też obaczyłam!

— Cóż cioteczka obaczyła? — pytała ciekawie Halinka.

— Wyobraź sobie figurkę maleńką, niewiekszą od lalki, ustrojoną paradnie, jak piękna pani, z parasolikiem w rączce, w kapelusiku, ale z pod tego kapelusika wyglądała mordeczka ciemna, obrośnięta, wykrzywająca się dziwnie. Dziś widok ten rozśmieszyłby mnie tylko, lecz wtenczas byłam jeszcze dosyć niemądra, więc najokropniej się przeraziłam. Czego? Sama nie wiedziałam, przecież takie malutkie stworzenie nie mogło mi nic złego zrobić, nie wyglądało też na to wcale. A jednak trwoga nieopisana mię ogarnęła.

— Ani troszkę się cioci nie dziwię — rzekła Halinka — jakże tu było się nie przestraszyć? Jabym na miejscu cioci krzyczała była w niebogłosy.

— Otóż widzisz, musiałam być cokolwiek od ciebie rozsądniejszą, bo nie krzyknęłam, chociaż drżałam cała, tylko pomknęłam jak sarna



w bramę znanej kamienicy, potem na wschody i zaczęłam dzwonić, jak szalona. Wszyscy znów w mieszkaniu Luni się wystraszyli, myśleli, że pożar lub inne nieszczęście podobne się stało. Gdy wreszcie wbiegłam do pokoju, rzucając ciągle błędnymi oczyma dokoła, czy nie goni za mną to osobliwsze straszidło, gdy ochłonęłam i zdołałam opowiedzieć, co mi się przytrafiło, matka Luni wybuchnęła śmiechem.

— To niezawodnie aktorka wyrwała się z teatrzyku Bröckmanna — zawołała — czyż nie słyszałaś o tym teatrze, w którym uczone zwierzęta występują? To bardzo blisko od nas i teraz właśnie musiało się odbywać przedstawienie, bo w niedzielę po dwa zwykle bywa, jedno w południe, drugie przed wieczorem.

Teraz mi się wszystko rozjaśniło. Tak, to była małpka, nic innego, nieraz przecież małpki widziałam, nietylko na rysunkach, lecz żywe, przez kataryniarzy wodzone. I czegoż ja się tak przelekłam. Wstyd mi się zrobiło. Później dopiero, starszą już będąc, zrozumiałam, że ludzie zwykle przestraszają się takich rzeczy, które są dla nich nieznanne, których sobie nie umieją wytłomaczyć. Ja też tej małpki dlatego się zlekłam, że narazie nie wiedziałam, co to jest takiego, bo



wcale nie wyglądała przerażająco, przekonałam się o tem później, gdy poszłam na przedstawienie do owego teatrzyku.

— Więc widziała ciocia te przedstawienia? — zawołała Halinka — jakże to tam było, niech ciotunieczka kochana opowie.

— Nie bardzo ja to dokładnie pamiętam — odrzekła ciocia Wańdzia z uśmiechem — bo od tej pory widziałam tyle rzeczy bardziej zajmujących, ale co sobie przypomnę, to ci opowiem. Miał ten Bröckmann naprawdę śliczne zwierzęta, zwłaszcza kucyki malutkie, jak roczne źrebaki, niezmiernie kształtne, wyczesane, wymuskane, jak lalki. Potem gromadkę przepysznych pudłów białych, także utrzymanych nadzwyczaj starannie. Wreszcie i małpki różnych rozmiarów, większe i mniejsze, z tych to jedna właśnie tak mię okropnie przestraszyła.

— Ale cóż one przedstawiały, te zwierzątka, moja ciociu?

— Poczekajże, zaraz powiem. Małpeczki cudacznie postrojone jeździły na małych konikach, różne figle wyrabiając, to znów poprzebierane za panie siedziały u stołu, zajadały przysmaki, inne w ubiorach lokajskich im usługiwały. Najwięcej jednak mi się podobały roztropne i zgra-



bne pudle. Te także jeździły na konikach, a jakie sztuki pokazywały! Wyobraź sobie dużą beczkę, wyklejoną z cienkiego papieru. Człowiek, stojący na scenie, chwytą taką beczkę i wyrzuca ją w powietrze w chwili, gdy pędzi właśnie kawalkata. Piesek podskakuje gwałtownie, przebija na wylot beczkę, wyskakuje drugą stroną i spada znowu na swego wierzchowca. I tak razporaz kilka beczek przebijał wlot.

— O, moja ciociu, jakie to musiało być zabawne!

— Bardzo mi się to rzeczywiście zabawne wydawało, ale jeszcze więcej mi się podobało przedstawienie pod tytułem: „Wzięcie Konstantyny“. Konstantyna, jestto miasto w Algierze, afrykańskiej posiadłości Francuzów, oni to miasto zdobywali od Arabów, czyli Beduinów. Otóż wyobraź sobie, urządzono na scenie coś nakształt twierdzy z tektury, i nagle wybiegła cała gromada pudłów, wszystkie skomlać i szczekając zawzięcie wskakiwały na te fortyfikacje, które padały i waliły się z największą łatwością, bo tak umyślnie były zrobione. A gdy już wszystko runęło, z boku wyjeżdżała na ślicznym kucyku małpeczka, ubrana w biały burnus z kapturem, jak Beduin i zatrzymawszy się przy tych



zwaliskach, spoglądała na nie z taką miną, jakby wielce ubolewała nad tem nieszczęściem.

— Ach, ciociu! jakże to szkoda, że ja tam nie byłam z ciocią — rzekła Halinka.

— Bardzo śmieszna była także pani dworska z czasów dawniejszych — mówiła dalej ciocia — panią przedstawiał przepyszny pudel, przybrany w suknię z jaskrawego adamaszku w kwiaty, z długim ogonem, w płaszczyk purpurowy i wysoki, osobliwszy strój głowy, z pod którego wymykały się białe kudły, zupełnie, jak włosy mocno upudrowane. Za nim postępowała ma lutka, jak laleczka, małka, przebrana w karmazynową liberyą lokajską, jedną łapkę trzymała ogon pani, a w drugiej niosła małą zapaloną latareczkę. Bo niby to ta pani szła tak w nocy przez ulicę. Przedstawienie to, na prośbę obecnych dzieci, musiano zawsze po kilka razy powtarzać. A teraz dość już o tym niemądrym teatrzyku, i tak zanadto się mówiło o podobnych niedorzecznościach.

— Ach! nie zanadto, ciociu — upewniała Halinka — nie zanadto, bo to takie zabawne.

---



## Co węgielek opowiadał Zygmusiowi.

---

Był wieczór zimowy, suty ogień palił się na kominku, babcia odeszła wcześniej do swego pokoju, Zygmusiowi jeszcze się spać nie chciało, więc wdrapał się na duży fotel babuni, wyciągnął się wygodnie i w ogień się wpatrywał.

Tak ślicznie wyglądały ogromne bryły węgla, czerwone, błyszczące, aż oczki bolały patrzeć na nie, iskierki podskakiwały, pryskały, a płomień buchał do góry. Zygmus patrzył i co chwila mrużył oczęta, w pokoju było cicho, więc chłopczyna zaczął drzemać i jakby przez sen powtarzał:

— Węgielku, węgielku, zkad ty się tu wziąłeś, gdzie ty byłeś, nim ciebie Janowa na kominku położyła i rozpałała? Węgielku, węgielku, opowiedz, gdzie ty byłeś, co robiłeś?



I zamknął zupełnie oczki, aż tu przy samem uszku słyszy Zygmus głosik cichutki, głosik ten mówi:

— Ja tu fruвам koło ciebie, mój chłopczyku, ja, węgielek, i wielką mam ochotę z tobą pogawędzić.

— Alboż ty umiesz fruwać, węgielku? — zapytał Zygmus zdziwiony.

— Ba! sam nie umiem i nawet ruszyć się nie mogę — odpowiedział węgielek — ale tam w ogniu mój przyjaciel, co się tlen nazywa, pożyczył mi swoich skrzydełek, bo on sobie zawsze buja w powietrzu. Mnóstwo tam już moich braciszków, drobniuteńkich węgielków, wyleciało kominem na tych skrzydełkach pożyczanych, a ja usłyszałem, że mnie wołasz i zaraz do ciebie przyfrunąłem.

— Chciałbym ciebie zobaczyć, mój węgielku — rzekł Zygmus — ale nie mogę oczek otworzyć, bo tak się skleiły...

— Nie zobaczyłbyś mnie, gdybyś nawet i oczki szeroko otworzył — odparł węgielek — bo ja jestem teraz niewidzialny. Mój przyjaciel tlen pochwycił mnie w swoje ramiona, skrzydełkami osłonił i stałem się niewidzialny, tak samo, jak i on. Ciekawy jesteś, mój chłopczyku, zkaąd



ja się tu wziąłem, gdzie byłem, co robiłem? Oho! gdybym chciał ci to wszystko opowiedzieć, tobym chyba całą noc prawić musiał i jeszczebym nie powiedział wszystkiego. Bo ja strasznie dawno żyję na świecie, tak dawno, że ty tego nawet wyobrazić sobie nie potrafisz.

— Ze sto lat? — spytał Zygmus.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się węgielek — zabawny ty jesteś, mój chłopaczku. Sto lat, to dla mnie wszystko jedno, co dla ciebie chwilka; ja mojego życia nie obrachowuję na setki lat, ale na tysiące, a i tych tysięcy zliczyć trudno. Kiedym się urodził, wyglądałem całkiem inaczej, nie byłem czarny, tylko zielony, świeżuteńki, mięciutki, bo ja wyszedłem z ziemi małym kielkiem, a potem wyrosłem w drzewko; wietrzyk rozwiewał moje listeczki, deszczyk je skrapiał, i z małego krzaczka zrobiło się ogromne drzewo, teraz już takich niema na świecie. A wszędzie też dokoła rosło mnóstwo drzew podobnych, u stóp naszych płynął bystry strumień, przybywał on zdaleka i ja go się spytałem kiedyś, co on tam widział na szerokim świecie. Strumyczek mi powiedział, że tam dalej wszędzie drzewa rosną, a las jest chyba bez końca.

— Ej, to być nie może, mój węgielku —



przerwał Zygmus — choćby i największy las, to przecież koniec mieć musi. Ten strumyczek plół ni w pięć ni w dziewięć.

— I ja tak myślę, mój chłopczyku, ale zawsze powiem ci, że takich lasów już pewnie nigdzie niema na ziemi, jak za czasów mojej młodości. Ach! dobrze nam było tam, dobrze, aż przyszedł koniec i na nas.

— Cóż się stało? — zapytał Zygmus — czy przyszli drwale i wyrabali was może?

— Ej, gdzie tam, wtenczas jeszcze drwali nie było, mnie się zdaje, że i ludzi nie było na świecie, bom ich nigdy nie widział. W naszym lesie drzewa ginęły same ze starości, pnie obalały się na ziemię, a że gęsto rosły, więc całe góry tych pni gromadziły się jedne na drugich. Razu jednego usłyszeliśmy huk straszliwy, rzeka wezbrała, pędziła na las z taką siłą, że zabrała wszystkie pnie, leżące na ziemi, mnóstwo też innych drzew poobalała i niosła nas na falach do jakiegoś ogromnego wąwozu. Tam zatrzymaliśmy się wreszcie, oparliśmy się na skałach, a rzeka pędziła dalej i nas przykryła mułem, kamykami, zagrzebała wkońcu zupełnie, jak w grobie.



— Biedny węgielku! — rzekł Zygmus —  
i co ty tam robiłeś?

— Spałem tam sobie, i wszyscyśmy spali  
długo, bardzo długo, a z góry ciągle nas zasy-  
pywał muł rzeczny, okruchy skał, pył powietrzny,  
aż wkońcu zagrzeźliśmy strasznie głęboko, okro-  
pny ciężar nas przytłoczył i wszystkie soki z nas  
wycisnął. Drewno w nas wysychało tak zupełnie,  
jak gdyby je ogień powolny palił, nareszcie, po  
upływie bardzo długiego czasu, drewno to za-  
mieniło się w czarny węgiel. Nigdyśmy tam świa-  
tła Bożego nie widzieli i przywykliśmy do tej cie-  
mnicy; możesz sobie wyobrazić, jakie było nasze  
zdziwienie, gdy dnia pewnego obaczyliśmy jasny  
promyczek, przedzierający się z góry przez szcze-  
linę. I nagle wśród ciszy dał się słyszeć łomot  
jakiś, szpara się rozszerzyła, pierwszy raz wów-  
czas obaczyłem ludzi przy świetle latarni, które  
przynieśli z sobą.

— Ach! cóż to byli za ludzie, mój węgielku?  
czy oni ciebie wydobyli z tej ciemnicy i wyswo-  
bodzili?

— A tak, oni tam po to przyszli, dowie-  
działem się z ich rozmowy, że miejsce, gdzie ja  
tyle tysięcy lat przespałem pod ziemią głęboko,



zowie się teraz Dąbrowa, a oni to nasze schronienie nazywają kopalnią węgla.

— O, teraz ja już i sam wiem, co się z tobą dalej stało, węgielku — mówił Zygmunt — wyciągnęli cię z tamtąd, naładowali węglem wagony i ty z braciszkami przyjechałeś do nas, do Warszawy.

— Zgadłeś, chłopczyku, wydobyto mnie z pod ziemi, przewieziono koleją żelazną, złożono w jakimś ogromnym składzie, potem dostałem się do waszego domu i dziś ta wasza służąca położyła mnie na kominku i podpaliła. Ach! to nie górnicy, to ona dopiero obdarzyła mnie prawdziwą swobodą, bo teraz ja sobie pofrunę z moim przyjacielem tlenem, pobujam trochę w powietrzu, a potem, już wiem, co zrobię. Nie mogę do dziś zapomnieć szczęśliwych czasów mojej młodości, gdy byłem ładnym drzewkiem zielonym. Poczekam do wiosny i jak tylko słończko przygrzeje, zaraz polecę prosto do lasu, a tam cichutko wcisnę się do listeczka, uczipię go się tak mocno, że mnie nie wypchnie pewnie, bo on mnie przecież bardzo potrzebuje, on się węglem żywi. Jeżeli przyjaciel mój tlen będzie wolał fruwać w powietrzu, to cóż ro-



bić, rozstaniemy się, zwrócę mu pożyczone skrzydełka, a sam nadobrze usadowię się w młodem jakimś drzewku. Teraz dobranoc, chłopczyku, tobie pora już spać, a mnie pora w drogę, dobranoc.

---



## Pawełek.

---

Zimno, mroźno na dworze, śnieg pokrył ziemię po kostki, ale Pawełek zimna się nie boi, ma ciepły kubraczek, barankami podszyty, czapkę dobrze wywatowaną, buciki z długimi cholewami i porządne, grube rękawiczki.

Pawełek jest synem karczmarza, a karczma stoi za wsią pod lasem, ma więc chłopczyna kawał drogi do szkoły. Nigdy jednak ani jednego dnia nie opuści, czy słońce, czy zamieć śnieżna, czy roztopy, on zawsze rano po śniadaniu rusza do szkoły. Musi przechodzić przez las, a chociaż nie obawia się wcale, bo i niema czego, w tym lesie nie słyszano nigdy, ani o rozbójnikach, ani o wilkach, zawsze jednak dla bezpieczeństwa zabiera z sobą podwórzowego psa Burka. Pies tak się przyzwyczył odprowadzać Pawełka do szkoły,



że jak tylko go obaczy zrana w ciepłym kubraczku i w czapeczce, natychmiast przybiega do niego, kręcąc ogonem i strzygąc uszami, jak gdyby chciał mówić:

— Jestem już, jestem, kochany chłopcze; ty spełniasz swój obowiązek, a ja swój. Idźmy więc do szkoły.

Podczas gdy Pawełek siedzi w szkole i uczy się pilnie, roztropny Burek nie ciśnie się za nim do izby, tylko biega sobie w pobliżu i zapoznaje się z innymi psami. Czasem się z którymś pokłóci trochę i bójkę stoczy, ale to się zdarza bardzo rzadko, bo Burek nie jest z natury kłótlivy i wtedy tylko zęby wyszczerza, gdy mu kto do żywego dokuczy. Nigdy się nie zdarzyło, żeby Burek się gdzie zawieruszył; gdy chłopcy wychodzą ze szkoły, zawsze czeka już na Pawełka, kręci ogonem i poszczekuje wesoło.

Wracają wówczas obaj zwawo do domu, a jeśli się spóźnią czasem na obiad, to nic jednak na tem nie tracą, bo matuchna zawsze zasuwa ciepłą strawę do pieca dla Pawełka, a Burek dostaje resztki tego obiadu. Po obiedzie Pawełek biegnie zaraz do izdebki, gdzie mieszka staruszka babunia, całuje ją w rękę i mówi:

— Suche gałązki dla babci są tu w sionce,



niech babcia wszystkie do pieca włoży, żeby było ciepło, ja jutro znowu przyniosę cały pęczek.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochanku — odpowiada babcia i całuje wnuczka w głowę.

Cóżto za gałązki i zkad je Pawełek przynosi dla babci? Zaraz to wytłomaczymy. Babcia była kiedyś piastunką dziedzica a pan ten nie zapomniał o tem i różne dobrodziejstwa świadczył staruszce. Raz poskarżyła się przed nim, że ją krzyż boli, że nie może już dźwignąć, ani drzewa, ani węgla i tylko wtenczas sobie bez wielkiego trudu w piecu rozpala, gdy ma pod ręką suche gałązki. A pan na to:

— Moja poczciwa Walentowa, toż ja wam dam pozwolenie zbierać suche gałęzie w moim lesie, który tu jest pod samym domem, ażebyście zawsze mieli czem sobie napalić w piecu.

I polecił dobry pan leśniczemu i gajowym, żeby nie bronili starej jego piastunce zbierać gałęzi w lesie. Ale niezawsze to można łatwo tych gałęzi uzbierać. Rodzice Pawełka byli ubodzy, mieli wprawdzie sługę, ta jednak przez cały dzień, od rana do wieczora, musiała siedzieć w izbie gościnnej i miała tam dużo roboty. Matka znów krzątała się, i przy kuchni, i koło



porządku domowego, a ojciec i w domu i za domem miał pracy niemało.

Staruszka babcia wiedziała o tem doskonale, i zawsze mówiła, że ona nie lubi, aby jej usługiwano, co mogła, robiła sobie sama. Nie śmiała prosić dziedzica, który i tak bardzo był łaskaw, że na zbieranie gałęzi pozwolił, żeby jeszcze wyznaczył kogo do tego zbierania, więc rzadko kiedy biedna starowina mogła z tego pozwolenia skorzystać, bo samej trudno jej było, i schylać się, i dźwigać gałęzie. Aż raz Pawełek uderzył się ręką w czoło i mówi:

— A co też za niezdara ze mnie! Jużto codziennie przez las przechodzę, idąc do szkoły, widzę po drodze mnóstwo suchych gałęzi i nigdy ich dla babci nie zbierałem.

— Dajże ty pokój, dziecko — odrzekła babcunia — czy to ty mało masz roboty, jak wrócisz ze szkoły? Toż musisz ojcu pomóc, i konika dojrzeć, i podwórko powymiać, i matce przynieść wody; czyż ty masz czas gałęzie dla mnie zbierać po lesie?

— Ależ ja, babciu, nie potrzebuję umyślnie po to chodzić — mówił chłopiec — wracając ze szkoły, będę tylko podnosił po drodze suche gałęzie, jak którą obaczę, i nazbiera się cały pę-



czek, nim dojdę do domu. A toż mi się przecież nic nie stanie, że o tem będę pamiętał i schyle się raz, drugi i dziesiąty.

Tak też zrobił Pawełek: nie potrzebował chodzić osobno po gałązki do lasu, ani nawet biegać po całym lesie, tylko idąc ścieżyną, ile razy zobaczył przed sobą lub obok siebie suchą gałązkę, schylił się, podniósł ją zręcznie i kładł na malutkie saneczki, które sobie umyślnie do tego sporządził. Zrana wiozł na tych saneczkach torebkę z książkami i zeszytami, uwiązawszy ją mocno, aby nie spadła, a potem, gdy wracał ze szkoły, znowu na spód kładł torebkę z książkami, a z wierzchu gałęzie.

Wicież, czytelnicy, jaka tu jest dla was nauka w tem opowiadaniu o Pawelku? Oto każde z was nieraz potrzebuje tylko pamiętać i schylić się, aby coś zrobić takiego, co może komuś pożytek przynieść. Tak naprzykład dzieci, uczęszczające do szkół, co rok zazwyczaj dostają nowe książeczki szkolne, a dawne, po większej części zniszczone, podarte, powalane, wyrzucają się gdzieś pomiędzy niepotrzebne graty. Gdyby te dzieci chciały pamiętać o tem, że dużo jest małych uczniów i uczennic, których rodzice są ubodzy i od ust sobie odejmować muszą na ku-



pienie takich książeczek, toby swoich nie psuły, a po skończonym roku mogłyby je oddać uboższym kolegom i koleżankom z klas niższych.

Panienki mogłyby pomyśleć o tem, że są biedne kaleki, które proszą, jako o dar szacowny, o małe szmatki kolorowe, bo wyrabiają z tych szmatek różne przedmioty na sprzedaż. Gdyby więc panienki skrzętnie zbierały podobne niepotrzebne gałganki, kawałki wstążek, sukien lalczynych i własnych, składały je starannie w jakiej szufladce, miałyby potem wielką przyjemność, oddając je do zakładu nieuleczalnych kalek. Takie panienki, schylając się tylko po każdą szmatkę, która ma być na śmietnik wyrzucona, spełniłyby dobry i pożyteczny uczynek.

Pomyślcie o tem, czytelnicy.



## Przestrach Janinki.

---

— Mamo! Katarzyno! ratujcie! Tu, tu, Katarzyno, na ścianie; ach, co za straszycie!

Tak krzyczała mała Janinka, a gdy niebawem nadbiegła mama i za nią służąca Katarzyna, dziewczynka paluszką wskazała ścianę, po której śpiesznie długimi, cienkimi nogami pomykał pajak.

— Wstydź się, Janinko — mówiła mama — jak można tak się przestraszyć pajaka. Cóż on ci złego zrobić może? Widzisz, jak ucieka, on cię tak samo się boi, ale nie darmo przynajmniej.

— A! przecież zabiła go Katarzyna, nie będzie mnie więcej straszył — rzekła Janka — mamuniu, on taki okropny, ja na niego patrzeć nie mogę.



— Moja Janko — odpowiedziała mama — ja także pajaków nie lubię w pokoju, każę je wyrzucać i pajęczyny obmiatać, ale na to trzeba być małym i nierozsądnym dzieckiem, ażeby się takiego stworzenia obawiać.

— Mamuniu, czyż ja jestem małym dzieckiem? — rzekła Janinka, która już miała sześć lat skończonych — ale on taki straszny, ten pajak, takie ma długie, obrzydliwe nogi. A żeby wlaźł na rękę, mamuniu, albo na głowę? Ach, okropność! A żeby ugryzł?

— Uspokójże się, moja Janko, w naszym kraju niema pajaków jadowitych, a te, co się czasem zakradają do mieszkań, nie mają najmniejszej ochoty gryźć ludzi, one tylko chwytają w swoje sieci muszki i inne drobne owady, którymi się żywią.

— A to i owszem, niech sobie zajadają muchy, komary, ja ich nie żałuję — mówiła Janinka — nie cierpię wszystkich owadów, pajaków i innych, ale pajaków znieść nie mogę, to najbrzydsze w świecie owady.

— Źle powiedziałaś, moje dziecko: pajaki najbrzydsze w świecie owady, bo pajaki, to nie są wcale owady.



— Co też mamuńcia mówi? A cóż one są takiego?

— Pająki są to poprostu pająki — rzekła mama — od owadów znacznie się różnią, chociaż na pozór rzeczywiście są do nich podobne.

— Moja mammo, czemże one się od owadów różnią? Łażą zupełnie tak samo, takie mają łapki, jak owady.

— Właśnie że nie takie — odrzekła mama — każdy owad prawdziwy, największy i najmniejszy, motyl, chrabaszcz, jelonek, tak samo jak i komar, ma zawsze trzy pary łapek, a pająki mają cztery pary.

— Ach! takie obrzydliwe te ich łapy. Cztery pary, to znaczy ośm. Ja myślałam, że one ich mają daleko więcej. Ale, moja mammo, liszki, to chyba także owady, bo z nich motylki się wykluwają, czytałam o tem niedawno, a liszki mają czasem więcej, niż trzy pary łapek, na własne oczy widziałam.

— Liszki są to owady niewykształcone, nierozwinięte, dopiero motyl, żuk, mucha, gdy z liszki i poczwarki się wydobędzie, jest już owadem skończonym, nie przemienia się więcej. Otóż ja tylko o takich owadach wykształconych mówiłam, że mają zawsze po trzy pary łapek.



Ale wymienię zaraz i drugą ważną różnicę pomiędzy owadami i pajakami: owady odbywają przemiany, z jajek wychodzą liszki, te usypiają, zmieniają się w pupki, poczwarki nieruchome, a z tych wkońcu wychodzą wszystkie skrzydlate muchy, żuki, motylki. Pajaki przez takie przemiany nie przechodzą wcale, odrazu się rodzą małymi pajęczkami i potem na większe wyrastają.

— Już niech one sobie będą co chcą, owady czy nie owady, zawsze ja ich bardzo nie lubię, brzydkie są, nieznośne, nie wiem doprawdy, poco Pan Bóg te pajaki stworzył, one do niczego pewnie nie są potrzebne.

— Nie mów tego, moja Janko — rzekła mama — wszystko, co Pan Bóg stworzył, jest potrzebne, chociaż nietylko takie, jak ty, dzieci, ale i starsi często tego zrozumieć nie mogą. Do niedawna jeszcze nikomu nie przychodziło na myśl, aby te pajaki, naprawdę bardzo nieładne i niemiłe, zwłaszcza w pokoju, mogły być jednak użyteczne. Ale pewien człowiek uczony pilnie im się zaczął przypatrywać i śledzić ich obyczaje. I cóż powiesz, przekonał się, że pajaki prawdziwe usługi oddają człowiekowi; nie w pokojach, mamy więc wszelkie prawo wypeł-



dzać je z naszych mieszkań, ale w lesie, bo chronią drzewa od zniszczenia.

— A to ciekawa rzecz, jakim sposobem taki pająk, albo i dwadzieścia i sto pajaków, może drzewa od zniszczenia ochronić? Moja mamuńciu, jakże one to robią?

— Jest mnóstwo drobnych owadów, które strasznie drzewa psują, objadają liście, sadowią się pod korą, gryzą, pożerają tak okropnie, że duże drzewo może uschnąć, gdy je taka chmara nieprzyjaciół obsiedzie. Przychodzą w pomoc drzewom poczciwe ptaszęta, one bowiem z wielkim smakiem pożerają wszelkie szkodliwe robactwo. Otóż i pająki leśne dzielnie im w tem pomagają, zjadają mnóstwo owadów, toczących drzewa i obgryzających liście, szczególnie zaś lubią jajka tych owadów. Gdzie tylko wykryją gniazdo, zabierają się zaraz do oczyszczenia go z jajek, a to już rzecz prosta, że gdy jajek zabraknie, młode się nie wykłują i coraz mniej szkodników w lesie się rozmnaża.

— No, no, to doprawdy bardzo dobrze te pająki robią — mówiła Janinka — tylko niechby sobie tam wszystkie siedziały w lesie, a do nas tu do pokoju nie włąziły.

— Słusznie mówisz, moje dziecko, w po-



koju pajak jest nie na swoim miejscu, to też widzisz, chociaż okrutną nie jestem, pozwałam jednak Katarzynie zabijać je i pajęczyny im niszczyć. Bronić się od zwierząt szkodliwych i dokuczliwych nie jest okrucieństwem, tylko bez potrzeby pastwić się nad żadnem najdrobniejszym stworzeniem nie wolno. Nieładnie jest także być tak lękliwą, jak moja córeczka i bać się pajaka. Sama widzisz, że on biedak z większą daleko słuszością ciebie się obawiał, uciekał też, jak mógł najspieszniej, chociaż mu się nie udało.

— Szkoda, że Katarzyna go nie złapała żywego i nie odniosła do lasu — rzekła Janinka — niechby tam sobie był pożyteczny, ale tu w pokoju, fe! Nie mogę patrzeć na takie paskudztwo.

— No, że niepiękne są pajaki, to prawda — mówiła mama — a jednak dla ludzi, którzy zbliska znają ich obyczaje, stworzenia te są bardzo zajmujące. Jakie to one naprzykład misterne sieci snują ze swojej pajęczyny. Najpiękniejsze, najdelikatniejsze koronki nie mogą iść w porównanie z temi wyrobami pajaków. Niektóre gatunki urządzą sobie z pajęczyny niby malutkie baloniki i unoszą się na nich w powietrzu. Mu-



siałaś widzieć w jesieni, w pogodę i ciepło, jak te niteczki białe latają sobie ponad płotami i krzakami; nazywają to babie lato. Drobniutkie pajęczki uczepione są zwykle do tych lekkich kłaczków, trudno ich jednak dopatrzeć. Uczeni ludzie, przyrodnicy, nigdy ze wstrętem nie patrzą na żadne stworzenie, bo w każdym podziwiają cudowny instynkt, którym je Pan Bóg obdarzył, ażeby sobie radę dawało na świecie.

---



## Wieszczka okruszyn.

---

Adaś był chłopczyk dobry, posłuszny, nigdy nie grymasił i mamy nie martwił, jeden tylko miał zły zwyczaj, z którego nie było sposobu go poprawić. Adaś bardzo nieporządnie jadł chleb i bułeczki, połamie naprzykład kromkę chleba, zje mały kawałeczek, a resztę podrobi, porozrzuca po stole, czasem i pod stołem, i bierze drugą kromkę, z którą robi to samo. Bułeczki, rogaliki, przy herbacie także zawsze pokruszył, pogniótł, i czwartej części tego nie zjadł, co popsuł.

Mama często przestrzegała Adasia, mówiła mu, że to nietylko brzydko, ale niepoczciwie tak marnować chleb, dar Boży, że jest bardzo dużo biednych dzieci, któreby zjadły, jak największy przysmak, te resztki, wyrzucane przez niego,



bo one czasami kawałeczka czarnego, suchego chleba nie mają, gdy im głód dokucza. Adaś słuchał tego niby uważnie, rozumiał, że mama dobrze mówi, ale po chwili zapominał i znów robił toż samo.

Raz latem w piękną pogodę mama pojechała z nim do lasu, zabrawszy z sobą różne zapasy żywności na podwieczorek, bo na świeżem powietrzu zawsze się ma wyborny apetyt. Adaś pierwszy raz w życiu widział taki duży las, wszystko go tam bawiło, słuchał kukania kukułki, kucia dzięcioła, świegotu różnych ptasząt, nareszcie obaczył wiewiórkę, skaczącą po gałęziach drzewa.

Wiewiórka także spostrzegła Adasia, a takie dzikie zwierzątka zwykle okropnie się boją małych chłopczyków, bo wiedzą, że oni lubią je chwycić i męczyć, a przynajmniej więzić, co dla biednego stworzenia, nawykłego do swobody, jest także męczarnią. Otóż wiewiórka, spojrzawszy tylko na Adasia, zaczęła uciekać, skacząc z jednego drzewa na drugie. On gonił za nią, choć złapać jej nie mógł, bo była bardzo wysoko, ale lubił patrzeć na zgrabne jej susy.

Mama zajęta była odpakowywaniem podwieczorku z kosza, nie zauważyła więc, że chło-



pczyk się oddalił, a on, biegnąc ciągle prędko, ażeby wiewiórki z oczu nie stracić, zapuścił się w głąb lasu. W końcu jednak wiewiórka go prześcignęła i nie mógł jej nigdzie dojrzeć. Wówczas dopiero nasz chłopczyk przypomniał sobie, jak mama po kilka razy powtarzała, aby nie odchodził od niej daleko, bo las duży, gęsty, więc łatwo w nim zabłądzić może. Ach! on teraz naprawdę zabłądził; zaczął biedz, wołać mamy z całej siły, ale tylko echo z lasu, jakby naśmiewając się z niego, powtarzało: „mamo! mamo!“ głos mamy się nie odzywał.

Adaś biegł czas jakiś w jedną stronę, potem zawrócił się w inną, i znów w inną, wszystko nadaremnie, nie było sposobu trafić do mniejsca, gdzie mama została z koszem. A gdy ten kosz stanął mu na myśli, uczuł chłopczyzna, że jest głodny, i to bardzo, bardzo głodny. Wyjeżdżając z domu nie jadł prawie obiadu z wielkiej radości, spuszczać się na podwieczorek, a tu teraz do podwieczorku dostać się nie może.

Straszno mu się także zrobiło; toż w lesie, w takim dużym lesie, bywają wilki i inne drapieżne zwierzęta, a te, gdy im głód tak dokuczy, jak jemu, gotowe jak nic małego chłopczyka pożreć na podwieczorek. Musiało nie mało czasu



tak upływać, bo Adaś okropnie się zmęczył, nóg prawie nie czuł, i splakany, zbiedzony, nie mogąc już kroku postąpić, padł pod drzewem, myśląc ze strachem, co będzie, gdy słońce zajdzie i ciemno się zrobi w lesie?

Już prawie przytomność tracić zaczął, a tu jeszcze coś zamajaczyło za drzewami, poruszyło się, jakiś dziwny szelest dał się słyszeć; Adaś zamknął oczki, bo bał się patrzeć na tę jakąś rzecz okropną. Po niejakiem czasie otworzył znów oczy, spojrział, i o dziwo! To nie zwierzę żaden drapieżny, nie żadna rzecz okropna, tylko śliczna młoda pani, ubrana bardzo pięknie, stała pod drzewem w pobliżu. Sukienkę miała błękitną, jak niebo, szarfę z białej, przejrzystej gazy, na głowie wianeczek z polnych kwiatów. U nóg jej stał duży kosz, napełniony samemi kromeczkami chleba różnej wielkości i połamanemi bułeczkami.

Dalej trochę obaczył Adaś gromadkę dzieci, starszych i młodszych, siedzących na trawie. Wszystkie były skromnie, ubogo nawet ubrane, ale twarzyczki i ręce miały czysto umyte; wyglądały na jakieś dobre, grzeczne dzieci.

— Przystępujcie po kolei — odezwała się piękna pani, zwracając się do nich — najbar-



dziej zgłodniałe, niech przyjdą naprzód, wystarczy dla wszystkich.

I dzieci bez żadnych sporów, zgodnie, spokojnie, zbliżały się do niej, ona wyjmowała z kosza kawałki chleba i rozdawała każdemu pokolei. Adaś, niewiele myśląc, zerwał się także, pobiegł do tej pani i rączkę po chleb wyciągnął, bo i on przecież był bardzo zgłodniały.

— A to co? — spytała piękna pani, zupełnie innym głosem, poważnym i surowym — ty, mój chłopczyku, nie masz prawa do tego chleba.

— Kiedy ja tak okropnie jeść chcę — wyrzekł chłopczyka żałośnie.

— Jeść chcesz? — powtórzyła pani — to może zrozumiesz, że nie godzi się marnować <sup>widzisz, będziesz wieział teraz, co to jest miód</sup> i może zrozumiesz, że nie godzi się marnować chleba, gdy go się ma poddostatkiem, bo są inni biedniejsi, którym ten chleb przydać się może. Ja jestem wieszczką okruszyn, zbieram po świecie wszystkie resztki, okruszyny chleba i bułek, rozrzucające przez takie niebaczne dzieci, jak ty. O! dużo, bardzo dużo zawsze zbierałam po tobie. Gdy uzbieram kosz pełny, rozdaję to bie-



dnym, głodnym dzieciom, a najdrobniejsze okruszyny sypię ptaszętom.

Mówiąc to, wieszczka wzięła ze spodu kosza garść drobnych okruszyn, rzuciła na trawę, a wnet zleciało się mnóstwo ptasząt i zajadały chciwie.

— Ale ty nic z tego nie dostaniesz — mówiła dalej do Adasia — pocoś chleb marnował, gdyś go miał za dużo? A widzisz, jaka to przykra rzecz być głodnym i nie mieć czem się posilić. Będziesz miał naukę.

— Ależ ja taki okropnie, okropnie głodny jestem! — wołał biedny Adaś, zalewając się łzami; padł na kolana, złożył ręczki i mówił błagalnym głosem: — O! pani wieszczko, kochana pani wieszczko okruszyn, ja już się poprawię, nigdy nie będę rozrzucał chleba, nigdy w życiu, tylko proszę mi dać choć garsteczkę tych okruszynek, tych co dla ptaszków!

— Czy naprawdę przyrzekasz? — rzekła wieszczka łagodniej nieco — czy tylko dotrzymasz słowa?

— O dotrzymam, dotrzymam! — powtarzał Adaś — nigdy najmniejszej okruszyny nie wyrzucę.



— To dobrze, zamknijże oczy — mówiła wieszczka.

Chłopczyk zamknął oczy, a w tejże samej chwili uczuł jakieś ramiona obejmujące go, unoszące w górę, spojrział i wykrzyknął z radości: to mama trzymała go w objęciach, okrywając pieśczołami. Wieszczka okruszyn znikła wraz z koszem, znikła także i gromadka ubogich dzieci, Adaś sam jeden był z mamą.

— Biedaczku mój! — mówiła mama — zasnąłeś ze zmęczenia i coś straszego musiało ci się przyśnić, bo tak jęczałeś i żaliłeś się przez sen. Bogu dzięki, żem cię odszukała, chodźmy prędzej na podwieczorek, musisz być bardzo głodny.

— Ach! to wszystko mi się śniło — zawołał Adaś.

— Co ci się śniło, co?

— Adaś opowiedział mamie swój sen, a ona wysłuchawszy rzekła:

— Radzę ci jednak, moje dziecko, dotrzymać słowa danego przez sen tej wieszczce okruszyn, bo w tem, coś od niej słyszał, jest dużo prawdy.

— Dotrzymam, mamusiu, dotrzymam —



mówił Aś, zjadając podwieczorek, a na początek prosił mamy, aby to, co zostało, pozwoliła mu zanieść dzieciom biednej Maciejowej stróżki, a drobne okruszyny posypał zaraz ptaszkom, tak jak wieszczka robiła.



## Nieposłuszna Lusia.

---

Zimno bardzo na dworze, wiatr wieje, śnieg pada, kto tylko niema koniecznej potrzeby wychodzić na ulicę, woli siedzieć w ogrzonym pokoju. Mama małej Lusi, pomimo niepogody, musiała wyjść kupić flanelki na ciepłe sukienki dla dzieci, to jest dla Lusi i młodszego jej bratka Adasia, który jeszcze w kołysce leży. Mama ubrała się ciepło, wzięła też parasol od śniegu. Lusie chciało koniecznie iść także, ale mama zaśmiała się z tego i powiedziała, że dzieci nie powinny wychodzić w tak okropną porę.

Lusia była zwykle grzeczna i posłuszna, miała jednak muszki w nosie, nadąsała się, że jej mama dogodzić nie chciała i bardzo niedorzeczna myśl przyszła jej do główki. Janowa piastunka siedziała przy kołysce Adasia; dziecko



spać, i ona zdrzemnęła się trochę i wcale nie zważała na to, co tam Lusia w drugim pokoju robiła, bo też dziewczynka zwykle nie robiła nic złego. Lecz teraz, jak już powiedzieliśmy, muszki w nosie poddały jej myśl niedorzeczną.

Więc pomyślała sobie Lusia: „Mama nie chciała mnie wziąć z sobą, otóż ja pójdę sama, spotkam mamę na ulicy i będzie musiała mnie zabrać“. Jak pomyślała, tak zrobiła. Nie mogła odszukać swojego kapturka, ani płaszczyka, ubrała się zatem w stary letni kapelusz mamy, który znalazła w szafce na dole. Żeby ładniej wyglądał, przypięła do niego duże pióro czerwone, wyciągnięte z miotłki do okurzania, wzięła w rękę ogromny parasol ojca i cichutko wysunęła się do sieni, a ztamtąd na ulicę.

Z początku Lusia szła śmiało, nie zważając na wiatr i zimno, ale gdy śnieg zaczął ją ciąć po twarzyczce, a wiatr o mało nie zerwał kapelusza, strach ogarnął nieposłuszną dziewczynkę. Parasol zawadzał jej tylko, wlokła go za sobą, bo otworzyć nie umiała, drugą rączką podtrzymywała ogromny kapelusz, a tu tak okropnie zimno przejmowało ją całą, że trząść się zaczęła i ząbkami dzwonić.

Lusia poznała teraz, jak wielką popełniła



niedorzeczność, zwróciła się do domu, ale tak jej śnieg oczki zasypywał, że nie widziała przed sobą i do drzwi trafić nie mogła. Nie wiele myśląc, Lusia rozplakała się głośno na ulicy, aż tu ktoś raptem chwytła ją wpół i woła:

— A toż co tu panienczka robi, Chryste Jezu! w taki mróz w jednej sukieneczynie!

Lusia nastraszyła się okropnie, myślała z początku, że to jakaś stara cyganka chce ją ukraść, bo nie mogła poznać kobiety, która do niej mówiła. Lecz po chwili przypomniała sobie, że to stróżka, widziała ją nieraz przez okno, jak zamiatła podwórze.

— Ja wyszłam za mamusią — szepnęła Lusie nieśmiało — ale tak zimno strasznie...

— Jakże to można wychodzić tak bez pozwolenia, oj te dzieci, te dzieci!

Stróżka chwyciła dziewczynkę na ręce i odniosła ją do domu, a tam już piastunka Janowa przebudziwszy się ze snu, szukała jej po pokoju i w kuchni. Gdy obaczyła Lusie zasypaną śniegiem, drżącą z zimna, aż ręce załamała z przestachu. Przelekła się także i mama, gdy powróciła z miasta i dowiedziała się o tem, co zbroiła córeczka.

Przestach ten nie był daremny, Lusie prze-



ziębiła się na mrozie i dostała zapalenia płuc, niebezpiecznej choroby, z której dużo dzieci umiera. Na szczęście Lusia nie umarła, uratowały ją troskliwe starania, lecz ile zmartwienia niedorzeczność jej przyczyniła biednej mamie, tego i opowiedzieć trudno. Nie potrzebujemy upewniać, że Lusia po takiej smutnej przygodzie nigdy już nie dąsała się na mamę i słuchała jej we wszystkim.

---



## Maryanek.

---

Mały Maryanek był jedynakiem, wszyscy w domu troszkę zanadto go pieścili, tembardziej, że chłopczyk często chorował. Mama ciągle się obawiała, ażeby mu to lub owo nie zaszkodziło, nigdy do niczego nie zmuszała, a Maryanek troszkę się tym sposobem rozgrymasił. Nie lubił naprzykład umywać się zimną wodą, chociaż to bardzo zdrowo dla dzieci, latem więc nawet przynoszono mu do umywania wodę ogrzaną. Nie lubił także wstawać wczesnie i chociaż się przebudził, leżał czasem godzinę i dłużej w łóżeczku, a bona cierpliwie czekała, póki pieścioszek, przypomniawszy sobie o śniadaniu, nie wydobędzie się wkońcu z pościeli.

Rodzice Maryanka mieszkali w Warszawie, ale razu jednego mama pojechała z synkiem na



całe lato na wieś, do cioci. Ciocia ta miała kilkoro dzieci; jeden synek, Stefuś, o rok tylko starszy od Maryanka, odrazu się z nim zaprzyjaźnił. Obaj chłopczyki biegali razem po ogrodzie i bawili się wybornie, a Maryanek, który w mieście rzadko kiedy bawił się z dziećmi swojego wieku, był uszczęśliwiony. Pierwszy dzień zbiegł mu tak szybko, że ani się obejrzał, gdy wieczór nadszedł i chłopczyk, znużony bieganiem, usnął smacznie w łóżeczku, a nazajutrz przebudził się wcześniej niż zwykle.

Zrazu Maryanek miał ochotę podrzemać jeszcze trochę w łóżku, ale przypomniał sobie, że jest na wsi, więc zerwał się i boso, w koszulce, pobiegł do okna. Pogoda była śliczna, słońce świeciło jasno, ptaszki śpiewały w ogrodzie. Maryankowi odechciało się zupełnie leżeć w łóżeczku, nie czekając na bonę, która gdzieś wyszła, bo nie spodziewała się, że on tak rano wstanie, zaczął wciągać pończoszki i trzewiczki. A wtem usłyszał w drugim pokoju plusk taki, jak gdyby kto odrazu całą konewkę wody wylał. Drzwi były odchyłone, Maryanek otworzył je zupełnie, zajrzał i zobaczył, jak służąca oblewała wodą Stefusia od stóp do głowy, a on stał spokojniuteńko w ogromnej balii, ile razy woda się na



niego polata, otrząsał się tylko i prychał, jak swawolny żrebaczek.

— Czy to ty się tak kąpiesz? — zawołał Maryanek zdziwiony — a czy ta woda ciepła?

— Ciepła! — wykrzyknął Stefuś, śmiejąc się — popróbuj; to woda prosto ze źródła.

— Co, zimna woda? — spytał Maryanek, a niedowierzając zbliżył się i umoczył koniec palca w konewce — naprawdę zimna — rzekł przestraszony — jakże ty to możesz wytrzymać?

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Stefcio — czy to ja piecuch jestem? taka zimna kąpiel jest bardzo przyjemna.

— Stefuś do tego przyzwyczajony — rzekła ciocia, która weszła w tej chwili do pokoju — i ty, Maryanku, żebyś spróbował raz i drugi, tobyś się przyzwyczał. Mówiłam o tem właśnie z twoją mamą.

— Ach, ciociu! to taka okropna rzecz — mówił Maryanek z przestachem.

— Nie bójże się, nikt cię nie będzie zmuszał. Ale cóżto tak raniutko wstałeś? Mama twoja mówiła, że zwykle sypiasz do dziewiątej.

— Bo dziś jakoś przebudziłem się i spać mi się już nie chciało; tak ślicznie na dworze.

— To bardzo dobrze — mówiła ciocia —



raz i drugi wstaniesz rano, to się przyzwyczaisz, a to bardzo zdrowo. Stefuś wstaje codziennie o szóstej przez całe lato, on już tak przyzwyczajony.

Chłopczyki ubrali się żwawo i po śniadaniu wybiegli zaraz do ogrodu. Stefuś miał swój własny maleńki ogródek, miał także różne małe narzędzia ogrodnicze, rydelek, grabie, taczkę, koneweczkę i pozwolił Maryankowi bawić się tem wszystkim. Chłopczyki wozili piasek taczką, jeden rozsypywał go na ścieżkach w ogródku, drugi wyrównywał małemi grabiami, a śliczna to była zabawa.

— Stefcio! wujaszek przyjechał! — zawołała mama zdaleka — i Adasia przywiózł, chodź prędko!

— Wujaszek! — powtórzył Stefcio ucieszony — i Adaś! toż dopiero będziemy się wybornie bawili! — i chciał biec prędko do domu, a wtem coś sobie przypomniał, chwycił taczkę i zawołał do Maryanka: — bierz grabie i idź za mną, trzeba to odnieść do altanki i koneweczkę także.

— Pocóż to? — pytał Maryanek — nie można tu zostawić?



— Nie można — odrzekł Stefcio — bo to nieporządek.

Odnieśli wszystkie narzędzia do altanki, potem dopiero pobiegli śpiesznie i spotkali po drodze obie mamy, wujaszka i syna jego Adasia, chłopczyka tego samego wieku, co Maryanek i Stefcio.

— Nie mogliśmy się was doczekać — mówił wujaszek.

— Bo myślałem, że nie wrócimy zaraz do ogrodu — rzekł Stefcio — i musiałem wszystko poskładać.

— To dobrze, chłopcze — powiedział wujaszek — że taki jesteś porządny.

— O, on do tego jest przyzwyczajony — odezwała się matka Stefusia.

Znowu chłopczyki bawili się wybornie, teraz już we trzech. Wieczorem, gdy Maryanek miał iść spać i sam został ze swoją mamą, zapytał jej znienacka:

— Dlaczego to, mamuniu, ten Stefcio taki jest dziwny, że do wszystkiego się przyzwyczajają?

— Jakto? do czegoż to on się tak przyzwyczajają?

— Rano oblewają go całego wodą zimną,



a on ani się skrzywi i śmieje się tylko. Ciocia mówiła, że on do tego przyzwyczajony. Sam wszystko zawsze poskłada, choć mu nikt nie przypomina, ciocia powiedziała wczoraj, że on już tak przyzwyczajony.

— Moje dziecko — powiedziała mama z uśmiechem — nietylko Stefcio, ale każdy może się tak samo przyzwyczać do wszystkiego, byle chciał tylko. Dzieciom to bardzo łatwo przychodzi.

— Moja mammo — spytał Maryanek — czy naprawdę i jabym mógł przyzwyczać się nawet do takiego okropnego oblewania zimną wodą?

— Ależ w tem nie ma nic okropnego, mój Maryanku — odrzekła mama — to rzecz bardzo zdrowa, żebyś tylko spróbował, pierwszy raz byłoby ci troszkę nieprzyjemnie, na drugi dzień łatwiejby już poszło, a wkońcu przyzwyczałbyś się zupełnie, tak samo, jak i Stefuś.

— Mammo, ja jutro spróbuję — rzekł Maryanek.

Mama przypomniała mu to rano, troszkę się bał chłopczyna, ale mama posadziła go na kolanach, umoczyła dużą gąbkę w zimnej wodzie i zmywała go prędziutko, potem szybko ręcznikiem obcierała. Maryanek zaciskał ząbki, żeby nie krzyczeć, ale tak mu było potem przyjemnie,



tak rzeźwo, że i na drugi dzień pozwolił się obmyć. W kilka dni już zimna woda nie sprawiała mu żadnej przykrości i oblewano go całego w bałii, tak samo, jak Stefusia. Przyzwyczał się także i do rannego wstawania, i do porządku, przekonał się, że mama dobrze mówiła: kto chce, do wszystkiego przyzwyczać się może.



## Ślizgawka.

---

Zima, mróz tęgi, woda wszędzie na dworze zamarzła, wyborna pora ślizgawki. Kazia i Bronka mają śliczne malutkie saneczki, które wybornie się suną po zmarzniętej sadzawce w ogrodzie.

Mama pozwala im ślizgać się temi saneczkami pod opieką starego Jakóba kredencera, on dzieci troskliwie pilnuje i przy nim z pewnością nie im się złego nie stanie. A co to za przyjemna rzecz taka ślizgawka! Gdy Jakób lekko popchnie saneczki z tyłu, one pędzą, jak strzała, po lodzie, dziewczynki, otulone w ciepłe futerka, siedzą spokojniutko, nie kręcą się, żeby która przypadkiem nie wyleciała. Czasem śnieg padać zaczyna, a to tak zabawnie, białe płateczki śniegu zasypują salopki, czapeczki, mufki naszych dziewczątek, spadają także na twarzy-



czki, ale to nic nie szkodzi, śnieg jest suchy, nie przemoczy ubrania, otrzepać go bardzo łatwo, powróciwszy do domu.

Już Kazia i Bronka ślizgały się całą godzinę, Jakób powiada, że to dosyć, trzeba powracać do pokoju. Dziewczynkom się jeszcze nie chce, ale one są grzeczne i posłuszne, wiedzą, że Jakób spełnia polecenie mamy, więc nie sprzeczą się, wysiadają natychmiast z saneczek i biegną prędko do domu. Zdejmują ciepłe ubranie, ach! jakie wszystko zasypane śniegiem. A oto jeden płateczek biały przy rozbieraniu spadł przypadkiem na sukienkę Kazi. Jaki on zabawny, Kazia woła Bronki i obie przypatrują się temu płateczkowi.

O, jakież to śliczne! maleńka biała gwiazdeczka, sześć pręcików równiuteńkich, jakby sześć promyczków, bieży od środka gwiazdeczki na wszystkie strony dokoła. A oto druga taka sama, i trzecia, płateczek śniegu cały jest złożony z takich malutkich gwiazdeczek. Ile też to ich zlepić potrzeba na jeden duży płatek i na wszystkie płatki, co spadają tak gęsto na dworze i cały ogród biało zasypały.

Ale cóż to się stało? Jeden promyczek gwiazdeczki śniegowej gdzieś znikł, i drugi, i wszy-



stkie, niema już gwiazdeczki, została tylko w tem miejscu na sukience wilgotna kropelka wody. Bo śnieg, to woda zamarznęta, a gdy woda od zimna zamarza, to zawsze się z niej robią takie malutkie gwiazdeczki. Jeżeli mróz silny na dworze, to i w pokoju na oknach wilgotnych woda marznie, a gwiazdeczki tak dziwnie się zlepiają wszystkie razem, że na szybach robią się z tego śliczne listeczki i kwiaty lodowe. W bryłce lodu gwiazdeczki tak szczelnie są przyklejone jedne do drugich, że ich wcale nie widać.

Już na sukience Kazi nawet i wilgoci niema ze śniegu, gwiazdeczki stopniały i zamieniły się w wodę, ale cóż się z tą wodą stało, gdzie się ona podziała? Sukienka wyschła prędko, bo ciepło w pokoju. Zawsze tak wilgotne rzeczy wysychają, a przy gorącym piecu najprędzej; gorącym żelazkiem można mokrą chusteczkę w jednej chwili wysuszyć zupełnie. Jakimże to sposobem ta woda znika? Ona ulatuje w powietrze, dzieli się na drobniuteńkie kropeczki, bardzo lekkie, a te unoszą się w górę, bo są niewidzialne. Taka woda niewidzialna, złożona z kropeczek drobniuteńkich, unoszących się w powietrzu, nazywa się parą.

Otoż trzeba, ażeby dzieci wiedziały, że woda



może mieć postać trojaką: bywa twardą bryłą, czyli lodem, cieczą, czyli zwyczajną wodą i parą niewidzialną. Woda zamarza tylko na mrozie, w cieple zwyczajnem jest cieczą i potrosze tylko paruje, a gdy bardzo gorąco, wszystko zamienia się w parę.



## Myszki.

---

Były sobie dwie myszki, mieszkały w jamce pod drzewem, w dzień zwykle siedziały tam pod ziemią cichuteńko, a wieczorem, gdy już na dworze się zmierzchało, najpierw jedna, potem druga wystawiała pyszczek z jamki, i jeżeli nigdzie nie słychać było żadnego szelestu, biegły prędziutko szukać czegoś smacznego do jedzenia. Lubiły te myszki różne korzonki, ale najlepiej im smakowały ziarenka i szukały ich pilnie wśród trawek i ziółek.

Pewnego wieczora biegły obok dworu i spotkały się ze znajomą myszką domową. Była to daleka ich krewna, starsza od nich znacznie, więc przez uszanowanie nazywały ją ciocią, ona zaś na nie wołała po imieniu. Jedna miała imię Szarusia, druga Aksamitka.



— Dobry wieczór, Szarusiu, dobry wieczór, Aksamitko — powiedziała myszka domowa.

— Dobry wieczór cioci — odpowiedziały.

— A gdzie się tak śpieszycie?

— Jeszcześmy dziś wieczery nie jadły, proszę cioci — rzekła Szarusia — bo taki jakiś hałas był koło naszego mieszkania, żeśmy się obawiały wychodzić. Ale tu niedaleko jest łączka, znajdziemy tam pewno dużo ziarenek dojrzałych.

— Zawsze się wam dziwię — mówiła myszka domowa — że tam na tej pustyni mieszkacie. Nie wiem, czemu się nie przeniesiecie tu do dworu, miałybyście daleko lepsze wygodę i smaczniejsze jedzenie. Lubię i ja czasem ziarnka, ale wolę serek i słoninkę. O! słoninka, to wyborna rzecz, jabym żyć nie mogła bez słoninki.

— Ej, moja ciociu — odrzekła Aksamitka — nam tak dobrze w tej jamce, gdzie mieszkali rodzice nasi i dziadowie, nigdy w życiu nie chciałabym się ztamtąd wynosić, a i Szarusia pewnie tak samo myśli.

— O, tak — dodała Szarusia.

— Bo nigdy chyba nie widziałyście piękniejszych mieszkań i nie kosztowałyście słoninki — mówiła mysz domowa, kręcąc pogardliwie ogonkiem.

— I owszem — rzekła Aksamitka — byliśmy



przecież kiedyś u cioci na imieninach, częstowała nas ciocia słoninką w tym ładnym swoim salonie pod podłogą spiżarnianą.

— Niezła jest ta słoninka — powiedziała Szarusia — ale nie musi być bardzo zdrowa. Pamiętam, że jak wróciłam z tych imienin, dostałam niestrawności i musiałam na drugi dzień być na dyecie.

— Więc naprawdę nie macie ochoty mieszkać w takim pięknym salonie, jak mój, i zjadać codziennie różnych przysmaków? — pytała myszka domowa z podziwieniem — żebyście wiedziały, jak tu u nas wesoło i przyjemnie, zwłaszcza odkiedy gospodyni wyrzuciła ztąd tego obrzydłego kota zato, że wypił śmietankę, przygotowaną do kawy dla państwa. Jest nas spora gromadka pod podłogą spiżarnianą, a jak tylko ucichnie wszystko, biegamy sobie wszędzie, tańczymy po stołach, po półkach i zjadamy różne przewyborne rzeczy. O, bo ludzie mają gust dobry, co też to oni za osobliwe specjały przyrządzają!

Mówiąc to, myszka zaczęła się oblizywać a Szarusia powiedziała:

— Jabym tam nie mogła wyżyć w takiej zamkniętej spiżarni; daleko przyjemniej jest bie-



gać po polach, po łąkach; żeby jeszcze nie te niegodziwe sowy, co ciągle na biedne myszki czatują, byłaby rozkosz prawdziwa. Ziarnka i korzonki są bardzo smaczne i zdrowe, obejdziemy się bez tych wymyślnych przysmaków spiżarnianych, nieprawdaż, Aksamitko?

— O, tak, tak! — zawołała Aksamitka — najlepiej to przestawać na swoim. Dobrze nam w naszej jamce, nie przeniesiemy się do dworu, niech tam ciocia co chce mówi, niema to jak skromne życie wiejskie na świeżem powietrzu, jedzenie niewybredne ale zdrowe.

— Ach, moja Aksamitko — przerwała jej Szarusia — my tu gadu gadu, a tymczasem noc zapada, straszenie się dziś z wieczerzą opóźniły, już jestem porządnie głodna. Dobranoc cioci.

Dwie młode myszki pobiegły śpiesznie na łączkę, a mysz domowa przesunęła się szybko wzdłuż ściany i wskoczyła w dziurkę, prowadzącą długim przejściem podziemnym aż pod podłogę spiżarnianą.

---











## Wycieczka do lasu.

---

Antoś i Zosia były to dzieci ubogiej wdowy, mieszkającej na wsi. Matka nie miała czasu czuwać ciągle nad nimi, prowadzić ich na przechadzkę, zwykle też bawiły się same lub z innymi dziećmi niedaleko domu. Raz Antoś zaczął prosić matki, żeby mu pozwoliła pójść z kilkorgiem starszych dzieci do lasu.

— Oni będą zbierali jagody i grzyby — mówił — a i ja matusi jagód uzbieram choć mały garnuszek.

— Matusiu, i ja pójdę na jagody z Anto-  
siem — prosiła Zosia — nigdy jeszcze nie by-  
łam tam daleko w lesie, a inne dziewczynki  
nieraz chodzą.

— Chodzą tylko starsze — odrzekła ma-  
tka — tybyś jeszcze, broń Boże, zabłądziła.



— Jagusia młynarza nie starsza ode mnie, a chodzi zawsze ze starszą siostrą, i na grzyby, i na jagody — mówiła Zosia.

— Ze starszą siostrą, to co innego.

— A ja pójdę ze starszym bratem, toć Antoś starszy ode mnie.

— To prawda, matusiu — odezwał się Antoś — ja jestem starszy od niej, niechże mama ją ze mną puści.

— A czy będziesz jej pilnował? — zapytała matka.

— Czemużbym nie pilnował? Z nią przecież łatwiej sobie dać radę, jak z tą malutką Andzią kowalą, co jeszcze chodzić nie umie, a Jurek, starszy brat Andzi, zawsze jej pilnuje, jak matka z domu wychodzi.

— No dobrze, to idźcież — powiedziała matka — tylkoż pamiętaj, Antosiu, oddaję ci Zosię w opiekę, pilnujże jej, nie odstępуй ani na chwilę, bo ona jeszcze mała, mogłaby zabłądzić, a gdyby tak noc ją zaskoczyła samą jedną w lesie...

— Ojoj! matusiu — przerwała Zosia — a toż byłaby okropność! — i oczki obiema rączkami zakryła ze strachu.



— To nie idź, kiedy się boisz — rzekła matka.

— Ej, już pójdę, mateczko, nic mi się nie stanie, Antoś mnie dopilnuje.

— A pamiętajże, nie odchódź od niego — powiedziała jeszcze matka, dała im na drogę kawałek chleba i sera, koszyczek na grzyby i garnuszek na jagody, potem odeszła do swojej roboty, a dzieci pobiegły wesoło i wkrótce w towarzystwie dwóch starszych dziewczynek i trzech małych chłopaków podążyły do lasu. Dziewczęta szły naprzód śpiewając, niosły także koszyki i garnuszki, bo one nie dla zabawy do lasu się wybrały, ale na zbieranie jagód i grzybów, miały je później zanieść do dworu na sprzedaż. Chłopcy obiecywali im pomagać, ale jak przyszli do lasu, jeden zaraz wdrapał się na drzewo, bo mu się zdawało, że obaczył gniazdo, inni pobiegli dalej i zaczęli kukać, śmiejąc się, gdy echo z różnych stron im odpowiadało. Antoś i Zosia szli z początku obok siebie, on znalazł kilka ślicznych poziomek i dał je siostrzyczce, potem ona znów znalazła taką ogromną, a czerwoną, pachnącą i chciała koniecznie, żeby Antoś zjadł tę jagódkę.

— A co! nie mówiłem, że jest gniazdo!



ptaszki poleciały, a w gniazdku leżą jajka, aż cztery, takie śliczne, nakrapiane. — Tak wołał Jakóbek, chłopczyk, który był wlaźł na drzewo.

— Jajka! — wykrzyknął Antoś, i klasnął w ręce — poczekajno, ja także się tam wydrapię i zobaczę. Zosiu, nie odchodź, ja zaraz wrócę.

I zaczął wlaźć na drzewo, Zosia przez chwilę spoglądała za nim, potem popatrzała w inną stronę i spostrzegła w oddaleniu coś dużego, czerwonego.

— Jakiś kwiatek prześliczny — pomyślała sobie i pobiegła go zerwać. Lecz jakież było zdziwienie dziewczynki, gdy zobaczyła zamiast kwiatka ogromny grzyb czerwony w białe kropki.

— Co za przepyszny grzyb! — zawołała — urwę go dla mateczki; toż się ucieszy, nigdy jeszcze u nas nie było takich osobliwych grzybów.

Mała Zosia nie wiedziała, że takie grzyby nazywają się muchomory i są straszną trucizną, zerwała więc czerwony piękny grzyb i wrzuciła do fartuszka. A wtem odezwało się w lesie: Kuku! kuku!

— Kukułeczka! — wykrzyknęła dziewczynka — ach! żebym to ja ją mogła zobaczyć!



I nie namyślając się, pobiegła w stronę, z kąd się dawał słyszeć głos kukulki. Ale nadaremnie zaglądała, podnosząc główkę, nie mogła dojrzeć ptaka, który czasem odzywał się bliżutętko, tuż przy niej, to znów gdzieś daleko, i wówczas Zosia biegła dalej, chcąc go dogonić koniecznie. Nakoniec tak się zmęczyła, że musiała usiąść na trawie. Biegając, zgubiła czerwony grzyb, żal jej było bardzo, że go matce nie odniesie, ale pomyślała, że może jeszcze drugi się znajdzie, Antoś jej pomoże szukać.

I odpocząwszy, dziewczynka zaczęła biedz, wołając Antosia, bo jej się zdawało, że to drzewo, na które on wdrapał się razem z Jakóbkiem, było bliżutętko. Tymczasem Antoś się nie pokazywał, bo Zosia nie mogła trafić do tego miejsca i szła w stronę przeciwną, coraz więcej się od braciszka oddalała. Poznała wkońcu, że jest sama jedna, że zabłądziła w lesie i przelękała się bardzo. Zaczęła więc znowu biedz z całej siły, wołając ciągle: „Antosiu! Antosiu!” ale echo tylko jej odpowiadało.

Gdy tak Zosia błądziła po lesie, Antoś także spostrzegł, spuściwszy się z drzewa, że siostrzyczki niema. Pewnie poszła z dziewczętami rwać jagody, pomyślał sobie, choć mu się trochę stra-



szo zrobiło, pobiegł więc poszukać dziewcząt, znalazł jedną, potem drugą, żadna jednak Zosi nie widziała. Antoś rozplakał się z przestachu i zmartwienia, przypomniał sobie, jak to on obiecywał matce pilnować siostrzyczki, sumienie mu wyrzucało, że przyrzeczenia nie dotrzymał. Inne dzieci go pocieszały, wszystkie rozbiegły się po lesie, hukając i nawołując, ale Zosia znikła, niepodobna jej było odnaleźć, a tu czas upływał i wieczór wreszcie się zbliżył.

— Trzeba iść do domu — powiedziała jedna z dziewczynek.

— Idźmy żywo — dodała druga.

— Chodź i ty — rzekł Jakóbek do Antosia — powiesz matuli, może ona prędzej Zosię znajdzie w lesie.

— O mój Boże! mój dobry Boże! — biadał Antoś — jakże ja mogę bez Zosi pokazać się matuli? Nie pójdę, będę szukał jeszcze, choćby i do jutra, póki jej nie odzukam.

— A jak noc przyjdzie? Jakże ty tak sam jeden w lesie zostaniesz? — pytały dzieci.

— A Zosia? — mówił biedny chłopczyzna ze łzami — ona taka mała, jakże ja mogę ją samą jedną zostawić w lesie? Ona tam musi



być okropnie przestraszona, pewnie płacze...  
Boże mój, Boże!

Dzieci próbowały jeszcze namawiać Antosia, żeby wracał z niemi, nakoniec odeszły, a on został i chodził po lesie, wołając ciągle z całej siły na wszystkie strony:

— Zosiu! Zosiu! odezwij się, gdzie ty? Ale Zosia się nie odzywała, wieczór tymczasem zapadał i ściemniło się zupełnie. W lesie tak było czarno, że Antos nie mógł nic dojrzeć o parę kroków przed sobą, nie myślał jednak odchodzić, tylko wołał raz po raz z płaczem i jękiem:

— Zosiu! Zosiu, odezwij się!

Długo tak chodził, aż wkońcu usłyszał zdaleka jęk słaby, wyteżył słuch i szedł w tę stronę, jęk powtórzył się wyraźniejszy, on znów z całej siły zawołał i z bijącym sercem słuchał, wkońcu z niewymowną radością usłyszał żałośny głosik dziewczynki.

— Antosiu! to ja! gdzie ty, Antosiu!

W jednej chwili Antos był już przy niej. Zosia leżała pod drzewem, drżąca i splakana. Obaczywszy braciszka, uspokoiła się zaraz, poskoczyła na nóżki i rzuciła mu się na szyję. Wkrótce jednak nowa trwoga ich ogarnęła oboje.

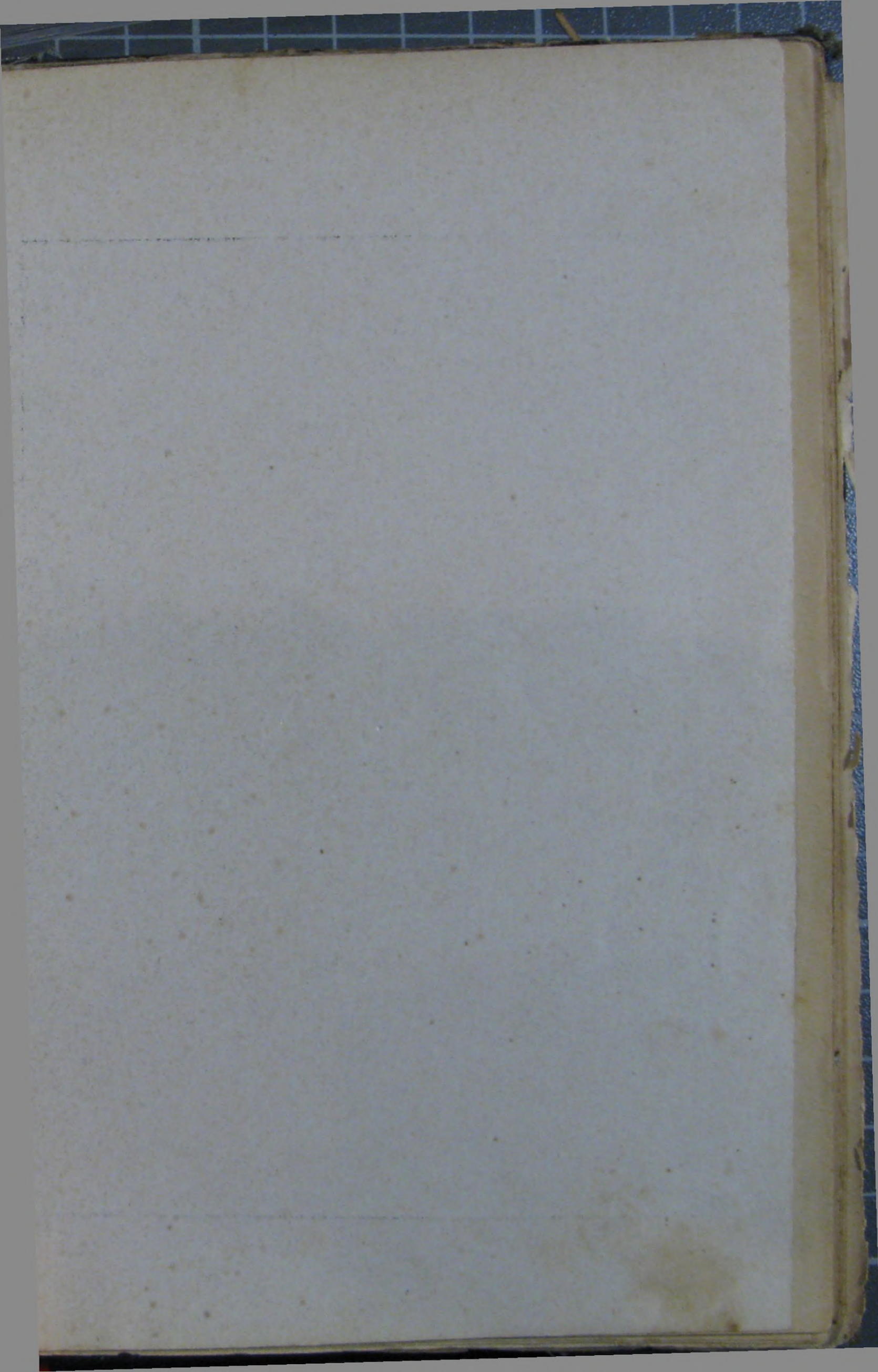
— Jak my teraz po nocy trafimy do domu? —



mówił Antoś; lecz po namyśle dodał — mnie się zdaje, że trzeba tylko iść ciągle prościuteńko, nie kręcić się na wszystkie strony, to kiedyś z lasu wyjdziemy, a na łące już jakoś trafimy.

Tak też zrobili, szli, ciągle prosto, trzymając się za ręce i wkrótce dostali się na ścieżkę i na pole, ztamtąd już widać było wieś, bo i księżyc pokazał się na niebie. Nie doszli jeszcze do wsi, gdy po drodze spotkali matkę, była bardzo niespokojna, dowiedziała się od dzieci, wracających z lasu, co się stało, i szła sama szukać Zosi i Antosia. Jak się ucieszyła, widząc ich oboje zdrowych i całych, domyślacie się zapewne. Nie łajała już nawet Antosia, ale pochwaliła, że nie chciał w lesie Zosi porzucić i nie wrócił, póki jej nie odszukał.











## Mała malarka.

---

Ojciec małej Feluni był malarzem, malował na płótnie różne śliczne obrazy, a Felunia lubiła niezmiernie siedzieć w pracowni swego tatki i przypatrywać się jego robocie. Tatko pozwalał na to, byle tylko była grzeczna i nie dotykała rączkami, ale zabraniał wchodzić do pracowni podczas swojej nieobecności.

Dnia pewnego tatko wyszedł zrana do miasta i długo nie wracał, a mama nie odstępowała od kolebki małego braciszka, który był troszkę słaby. Feluni znudziło się siedzieć samej, choć miała różne zabawki, wysunęła się więc niepostrzeżenie z pokoju i pobiegła do pracowni tatki, bo myślała, że on może już tam jest. Ale tatki nie było jeszcze, więc Felunia chciała powracać, pamiętała, jak tatko nieraz powtarzał, żeby ni-



gdy nie wchodziła sama do pracowni. A wtem spostrzegła na ziemi figurkę białą, taką zabawną, wczoraj jeszcze tej figurki tam nie było. Dziewczynka zbliżyła się, aby ją lepiej obejrzeć i obaczyła tuż obok otwarte pudełko z farbami i pendzle tatki.

— Taka nieładna ta figurka — pomyślała sobie — twarz ma taką białą, niepodobną wcale do prawdziwej. Tu właśnie jest różowa farba, pewnie tatuś będzie malował na niej ładne rumieńce. A możebym i ja potrafiła to zrobić.

I Felisia zabrała się do roboty. Co to była za robota, łatwo się domyślić; nietylko figurce się dostało, ale i paluszkom Felisi, i sukience, nawet na podłogę tyle farb się rozklapało, że tatko aż wykrzyknął z przestachu, gdy wszedł do pracowni i zastał to gospodarstwo swojej córeczki. Gniewał się trochę, ale nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Felisia ślicznie tatkę przeprosiła, a że była jeszcze maleńka, więc tatko jej przebaczył i nawet mamy prosił, ażeby nie łajała dziewczynki bardzo, bo ona tego drugi raz nie zrobi.

---



## Złota szpilka i świeczek.

---

Zdarzyło się raz, że piękną złotą szpilkę położono na stoliku obok prostego, żelaznego świeczka. Obraziła się tem pyszna i zarozumiała szpilka, i tak mówiła:

— Co to za śmiałość, żeby jakiś prostak zbliżał się poufale do takiej jaśnie oświeconej osoby. Ale niesłusznie się na niego gniewam, on temu nie winien, że ktoś nierozważny położył go przy mnie i pewnie jest upokorzony, widząc, jak ja wspaniale wyglądam w porównaniu do niego.

— Bardzo się mylisz, moja piękna pani — odpowiedział świeczek skromnie, ale bez zbytej uniżoności — znam ja dobrze swoją wartość i przekonany jestem, że ludzie cenią mnie więcej od ciebie.

— Co ty pleciesz! — wykrzyknęła szpilka



oburzona — czyż nie wiesz, że złoto jest najkosztowniejszym metalem, a żelazo do najtańszych się liczy. Za jedną złotą szpileczkę taką, jak ja, możnaby kupić niezmierne mnóstwo lichych świeczków żelaznych, podobnych do ciebie.

— Nie przeczę temu wcale — mówił świeczek — ale ja nie mówię o sobie, tylko o metalu, z którego jestem zrobiony, to jest o żelazie. To prawda, że ludzie płacą drogo za różne złote błyskotki, ale gdyby ich kto zapytał, bez czego łatwiej obejść się mogą, okazałoby się dopiero, co jest pożyteczniejsze, czy złoto, czy żelazo.

— Co za zarozumiałość! — zawołała szpilka — a ja ręczę, że moja pani obeszlaby się bez ciebie, a mnie i innych prześlicznych ozdób złotych nie oddałaby za nic w świecie.

— Ciekawy jestem, czy ta twoja pani obeszlaby się bez nożyczek, igieł, scyzoryka? Jeżeli sama jest próżniaczka i nic nie robi, to przecież potrzebuje, ażeby ktoś pokrajał i uszył dla niej suknie. A jakimże sposobem różni rzemieślnicy i rękodzielnicy urządziliby jej mieszkanie, sprzęty i najrozmaitsze przedmioty, koniecznie potrzebne, gdyby nie było na świecie żelaznych narzędzi? Najprzemysłniejsi ludzie nie potrafiliby rąbać drzewa, piłować desek, heblować, świdrować, nie ma-



jąc żelaznych siekier, pił, świdrów i najrozmaitszych innych narzędzi. Bez złotych ozdób obezliby się daleko łatwiej.

— Masz ty trochę słuszności, mój ćwieczku — powiedziała szpilka, znacznie już grzeczniej i spokojniej — złoto na to wszystko nie przydałoby się wcale, bo najpierw niema go tyle na świecie, ażeby wystarczyło na tak liczne potrzeby, a potem nie jest dość twarde i wytrzymałe. Czy wiesz, że ja nawet sama, choć tak prześlicznie błyszczę, nie jestem z czystego złota zrobiona, bo pogięłabym się i połamala; więc dla nadania mi trwałości, dodano do złota odrobinę miedzi i wtenczas dopiero mnie zrobiono z tego.

— Co, tej zwyczajnej miedzi, z której grsze robią i rondle? — zapytał ćwieczek zdziwiony.

— Tak, nie umiem kłamać i choć mi wstyd trochę, musiałam ci się przyznać do tego. Ale co tam, wszak nawet i dukaty nie są z czystego złota, i do nich także, dla trwałości, dodają troszeczkę miedzi.

— A widzisz, widzisz, piękna szpileczko — mówił ćwieczek — sama przyznajesz, że nie potrafiłabyś żelaza zastąpić i że źle bardzo byłoby



ludziom na świecie, gdyby go jakim przypadkiem zabrakło. Wielkie to szczęście, że tyle jest wszędzie kopalni, gdzie wykopują żelazo.

— Tak, tak, jestem szczerą — rzekła szpilka — ale przyznaj i ty, mój świeczku, że żelazo nie potrafiłoby znów zastąpić złota.

— A to dlaczego? — odezwał się świeczek żywo — czy to nie możnaby z żelaza wyrabiać szpilek, kolczyków, piścioneczków? Wszystkie te ozdoby mogłyby być przecież z pięknie wypolerowanej stali, i wyglądałyby bardzo ładnie. To jest tylko kaprys ludzki, że wolą do tego używać metalu rzadszego i kosztowniejszego. Bo powiedz mi, czem twój żółty kolor jest piękniejszy od stalowego?

— Oho! teraz to już ty nie masz wcale słuszności, mój świeczku — odrzekła szpilka z pewnym odcieniem dumy — nie idzie tu już o kolor, ale spojrzyno tylko, co to się zrobiło na twoim koniuszku?

— Ej, to nic — mówił świeczek zakłopotany — położyła mnie służąca na oknie, gdzie woda była rozlana, zamokłem, troszeczkę zardzewiałem. Żeby tylko chciała mnie odczyścić, oliwą posmarować, zarazby to przeszło.

— Dobry sobie jesteś — rzekła szpilka —



zanim ona to odczyści, rdza cię tak podgryzie, że będziesz znacznie krótszy. Ładnieby wyglądało, żeby szpilka, pierścionek, łańcuszek, zardzewiały. Gdyby te ozdoby były stalowe, jak ty powiadasz, trzebaby się ciągle wystrzegać, ażeby woda się do nich nie dostała, a i toby niewiele pomogło, od samego powietrza prędkoby blask straciły.

— Ta nieznośna rdza, to plaga jest prawdziwa — mówił świeczek ze smutkiem — powiedz mi, piękna szpileczko, jakim to sposobem się dzieje, że ty nigdy nie rdzewiejesz?

— Ba! to już taka jest własność złota — odrzekła — a także i srebra, dlatego też te metale nazywają szlachetnemi. Można każdą rzecz złotą lub srebrną zanurzyć w wodzie, w ziemi zakopać, a także i w ogień wrzucić, nic a nic jej to nie zaszkodzi, w ogniu nawet odczyści się bardzo pięknie. Pomyślno, biedny ty mój świeczku, coby się z tobą stało, żebyś tak jakim przypadkiem wpadł w ogień.

— No, przecież nie spaliłbym się, jak kółek drewniany — mówił świeczek — tyłkobym poczerwieniał okropnie, ale potem poczerniałbym znowu, byle mnie tylko prędko z ognia wyjęto.

— A gdyby cię nie prędko wyjęto i sma-



żono w tym ogniu bardzo długo? — pytała szpilka.

— Ej, tegobym sobie nie życzył, bo schudłbym okropnie w tym upale.

— A wkońcu spaliłbyś się do szczętu — rzekła szpilka — już daj pokój, wiem ja to dobrze, żelazo w silnym ogniu pali się tak zupełnie, jak drzewo, nic z niego nie zostaje. Ja o siebie jestem zupełnie spokojna, mogłabym choćby i najdłużej w ogniu leżeć, nicby mi się nie stało. Zapewne, że i złoto się topi, jak wszystko na świecie, ale jakiego to gorąca na to potrzeba! W zwyczajnym ogniu jabym się tylko ładnie odczyściła, a tybyś się kurczył, biedaku, coraz więcej, wkońcu nie zostałoby z ciebie ani śladu.

— Wiesz ty co, moja szpileczko — mówił świeczek — nie sprzecajmy się darmo, bo oboje podobno mamy słuszność. Ty sama musiałaś przyznać, że żelazo daleko jest potrzebniejsze od złota, że gdyby nagle zabrakło na świecie żelaza, toby sobie ludzie rady nie dali, a bez złota obezliby się z łatwością. Ja znów oddaję ci sprawiedliwość, żelazo naprawdę nie mogłoby zastąpić ani złota, ani srebra, bo te metale mają swoje wielkie przymioty. Więc ty mną nie gardź



dlatego, że nie tak pięknie wyglądam, jak ty, a ja chętnie ci ustąpię pierwszeństwa wszędzie, gdzie tylko idzie o wytworne ozdoby i piękność powierzchowną. Przypomnij sobie, w jakiej przykładnej zgodzie złoto z żelazem pozostaje w zegarkach na przykład. Każdy zegarek jest z wierzchu złoty lub srebrny, żeby nie zardzewiał, a w środku sprężynki ma stalowe, bo złote byłyby miękkie i nietrwałe.

— Dobrze mówisz — zakończyła szpilka — masz ty swoje wielkie zalety, ale mam i ja swoje. Nie gardźmy więc sobą wzajemnie i starajmy się być użyteczni na świecie, każde po swojemu.

---



## Podarunek dziadunia.

---

Ignasъ pojechał raz z mamą na całe lato na wieś do dziadunia; wielka to była radość dla chłopczyka, gdy dziadunio zaczął go oprowadzać po całym gospodarstwie, pozwolił oglądać zbliska koniki, krówki, owieczki. Ale ze wszystkich zwierząt, najwięcej podobał się Ignasiowi śliczny mały osiołek; nie mógł się nim nacieszyć, głaskał go, brał za uszki, za pyszczek, nareszcie objął za szyjkę, pieścił, całował i mówił do niego. tak zupełnie, jak gdyby osiołek mógł to rozumieć. A dziadunio powiedział z uśmiechem:

— Już kiedy tak polubiłeś tego osiołka, mój Ignasiu, to ci go daruję.

— Co? — zawołał chłopczyk uszczęśliwiony — naprawdę mi dziadunio daruje tego śli-



cznego osiołeczka? i on będzie teraz mój, mój własny?

— Tak, będzie twój własny, ale pod jednym warunkiem: oto żebyś sam zawsze pamiętał o wszystkich jego potrzebach. Osiołek nocuje w stajni, trzeba więc rano go wyprowadzić, uwiązać na sznureczku na łączce, żeby się mógł napaść trawki, trzeba mu potem pić dać w porę i wieczorem znowu odprowadzić do stajni. Jak sądzisz, czy to nie będzie za duży kłopot dla ciebie myśleć o tem wszystkim? Bo gdybyś kiedy zapomniał o osiołku, mógłby zachorować, a nawet i zginąć.

— O, nie, dziaduniu, ja o nim nigdy nie zapomnę — zawołał Ignas — jak tylko się przebudzę rano, zaraz pobiegnę, zaprowadzę go na paszę, spytam się stajennego, kiedy go potrzeba napoić i pójdę z nim do cebrzyka, gdzie jest woda.

I rzeczywiście Ignas troskliwie się opiekował swoim osiołkiem, nigdy nie zapomniał wyprowadzić go na paszę, napoić w porę, tylko jeżeli deszcz padał i mama nie pozwalała wychodzić z pokoju, wyręczał go w tem chłopak stajenny. Osiołek wyrósł, był zdrow i sil-



ny, a gdy Ignaś w roku następnym przyjechał do dziadunia na lato, mógł już jeździć na swoim osiołku, zawsze jednak i potem sam o wszystkich jego potrzebach pamiętał.

---











## Dziwne iskierki.

---

Adaś i Zosia pierwszy raz w życiu przyjechali ze wsi do Warszawy, do cioci. Ciocia obiecała ich oprowadzić po mieście i pokazać różne ciekawe rzeczy, ale pierwszego dnia musieli siedzieć w domu, bo już było późno i nim obiad się skończył, zciemniło się na dworze. Starsi rozmawiali, a dzieci usiadły przy oknie i patrzyły w ulicę. Bawiło je to niezmiernie, że tyle ludzi snuło się ciągle po chodnikach, a po bruku toczyły się nieustannie powozy.

— Ach! jaka prześliczna iskierka wyskoczyła z pod nóg koniowi — zawołał Adaś — czy widziałaś, Zosiu? Co to może znaczyć? O, i druga, a taka błyszcząca, jak ogień prawdziwy; co to takiego?

— To prawda, dziwne rzeczy tu w tej War-



szawie się dzieją — mówiła Zosia — u nas na wsi nigdy nie widziałam nic podobnego. Zkąd te iskierki się biorą? Czy z bruku tak wyskakują? Ale dlaczegoż tylko wtedy, gdy koniki biegną? Patrz, patrz, Adasiu, znowu taka śliczna wyskoczyła, jak błyskawiczka malutka.

I dzieci pobiegły do rodziców i do cioci, opowiadając, co widziały i zapytując, co to za iskierki. Mama powiedziała, że im to później wytłómaczy, a teraz nie trzeba się naprzykrzać starszym, bo oni w tej chwili nie mają czasu się dziećmi zajmować. Dzieci były rozsądne i dobrze wychowane, zaraz więc odeszły i znów patrzyły przez okno. Wszystko je zajmowało, ale najwięcej owe zabawne iskierki, wyskakujące raz po raz z pod kopyt końskich. Mama nie zapomniała o obietnicy i przyszła później do dzieci do okna, żeby im wytłómaczyć, co to znaczy.

— Czy to prawdziwy ogień, mamuniu? — spytała Zosia.

— Najprawdziwszy — odrzekła mama.

— A zkadże on tam się bierze? — pytał znów Adaś.

— Wszak znasz dobrze zapalki, a nigdy ci nie przyszło na myśl zapytać, zkad się w nich ogień bierze.



— No, bo zapalka się pociera i wtenczas ognik z niej wyskakuje — odrzekł Adaś.

— Toż prawda, mamusiu — mówiła Zosia — i to także jest dziwne i ciekawe, zkad w tej zapalce ogień się bierze, ale nigdy mi jakoś nie przyszło do głowy o to zapytać.

— Bo na zapalki ciągle patrzysz — rzekła mama — już się do tego przyzwyczaiłaś, iskierki, wyskakujące z bruku, obaczyłaś po raz pierwszy i dlatego cię zaciekały. Dawniej, gdy jeszcze zapalek nie było, używano do zapalania ognia krzesiwa, którego wy wcale nie znacie, bo teraz rzadko już kiedy służy do tego. Ażebyście zrozumieli, zkad się te iskierki biorą, co z bruku wyskakują, muszę wam wprzód powiedzieć, jak wygląda krzesiwo. Jest to poprostu kawałek stali i bryłka krzemienia, kamyczka bardzo twardego. Chcąc ogień zapalić, trzeba ową stalą uderzać silnie i szybko o krzemień, a natychmiast ukazują się iskierki takie same, jak te, co tu wyskakują z bruku. Dość podłożyć wówczas w tem miejscu kawałeczek hubki, tak się nazywa rodzaj grzyba, co się bardzo łatwo zapala, ażeby z iskierek rozniecić ogień. Panowie dawniej zawsze takie krzesiwa nosili w kieszeni do zapalania fajki, jak teraz zapalki noszą.



— Ale, moja mammo, jakimże sposobem z takiego kamyka może wyskoczyć ogień? — pytał Adaś.

— Trzeba wiedzieć — mówiła mama — że od tarcia każda rzecz się rozgrzewa. Toż nawet, gdy nam zimno w ręce, zaczynamy je pocierać jedną o drugą, a zaraz się troszkę rozgrzewają. Dzicy ludzie, trą mocno dwa kawałki drzewa i tym sposobem ogień rozniecają. Krzesiwem toż samo robi się daleko łatwiej, twarde kamyczek, uderzając o stal, rozgrzewa ją w jednej chwili tak gwałtownie, że w miejscu uderzeniem odrobinka żelaza odrywa się rozpalona i ogniem płonie. Zkąd właśnie owe iskiereki, to są drobnutki kawałeczki żelaza, co wyskakują i palą się w powietrzu.

— A na ulicy, mamuniu, na bruku, co się robi? — pytały dzieci.

— W bruku jest dużo twardych kamyków, krzemieni, a koniki mają podkowy żelazne. Gdy konik uderzy podkową o krzemień w bruku, to tak zupełnie, jak gdyby kto krzesał ogień krzesiwem. Od uderzenia podkowa się rozpala, odrobinki żelaza zapalają się i ulatują w powietrze w postaci iskierek.

— A teraz niech mamunia jeszcze opowie —



mówiła Zosia — co to w zapałkach tak się zapala odrazu, jak tylko je potrzeć?

— Na łebkach zapałek jest fosfor, a ten fosfor ma taką własność, że za najlżejszem potarciem zaraz się zapala. Żelazo trzeba silnie uderzyć o krzemień, ażeby z niego iskierki wyskoczyły, ale fosfor dosyć tylko potrzeć troszeczkę o chropowaty jaki przedmiot, zaraz się rozgrzewa i płonie. Dlatego też takim fosforem pokrywają koniuszki suchych patyczków drewnianych i to są zapałki. Wielka to wygoda te zapałki, lecz tylko dla ludzi rozsądnych, co się z niemi obchodzić umieją. Dzieci nie powinny nigdy zapałek dotykać, bo właśnie dlatego, że się tak łatwo zapalają za potarciem, są dla nich bardzo niebezpieczne. Dzieci przez nieostrożne obchodzenie się z zapałkami, mogą i same się oparzyć i pożar nawet wzniecić. Powinniście także wiedzieć o tem, że fosfor jest straszną trucizną i nigdy, broń Boże, do ust nie brać zapałek.



## Pszczołka i motylek.

---

— Ach! ten próżniak, patrzeć na niego nie mogę — tak brzęczała pszczołka, przelatując obok ładnego motylka — cały dzień siedzi sobie na kwiatkach lub buja w powietrzu dla zabawki, nic nie robi, nie pamięta, żeby sobie i dzieciom przygotować jakieś zapasy na zimę.

— Moja pszczołko — odpowiedział motylek łagodnie — dobrze to zapewne, że jesteś pracowita, ale nie bądź taka dumna i nie pogardzaj wszystkimi, co ciebie nie naśladowają. POCO JA MAM zbierać zapasy? Tu tyle kwiateczków na łące, że starczy zawsze dla mnie słodkiego soku. Zresztą tak mi jakoś słabo od wczoraj, od kiedy jajka złożyłem tam na listeczku, straciłem zupełnie apetyt.

— O, próżniak, próżniak, próżniak — za-brzęczała jeszcze pszczołka i odleciała.



Na drugi dzień przelatywała znowu przez tę samą łączkę i obaczyła znajomego motyla, chciała więc zaraz zawołać, tak jak wczoraj: „Próżniak, próżniak!“ gdy spostrzegła, że motylek miał skrzydełka opuszczone, wietrzyk powiewał niemi na wszystkie strony; pszczołka przyfrunęła bliżej, spojrzała, biedny motyl już nie żył.

— Co za nieszczęście — mówiła pszczołka, która miała dobre serce — żałuję teraz, że wczoraj tak ostro do niego przemawiała. On był chory, osłabiony, a ja go do pracy napędzałam! Ale cóż teraz z biednymi sierotami się stanie? Mówił wczoraj ten motylek, że jajka złożył na listeczku.

— Bądź acani spokojna o te dzieci — odezwała się liszka, pełzająca tuż obok na zielonym krzaczku — ja także jestem dzieckiem motylków, rodziców swoich nie pamiętam wcale, bo pomarli, nim ja z jajka się wyklułam. Kochana mateczka wiedziała jednak zapewne, że te listeczki zielone będą mi smakowały, bo złożyła jajka na tym krzaku. Bardzo mi tu dobrze, nie zgine z pewnością z głodu, a kiedyś przemienie się w skrzydlatego motylka i fruwać sobie będę, i sok z kwiateczków spijać. Ach! żebyż to prędzej, bo mi już dokuczyło tak pełzać. Musiał



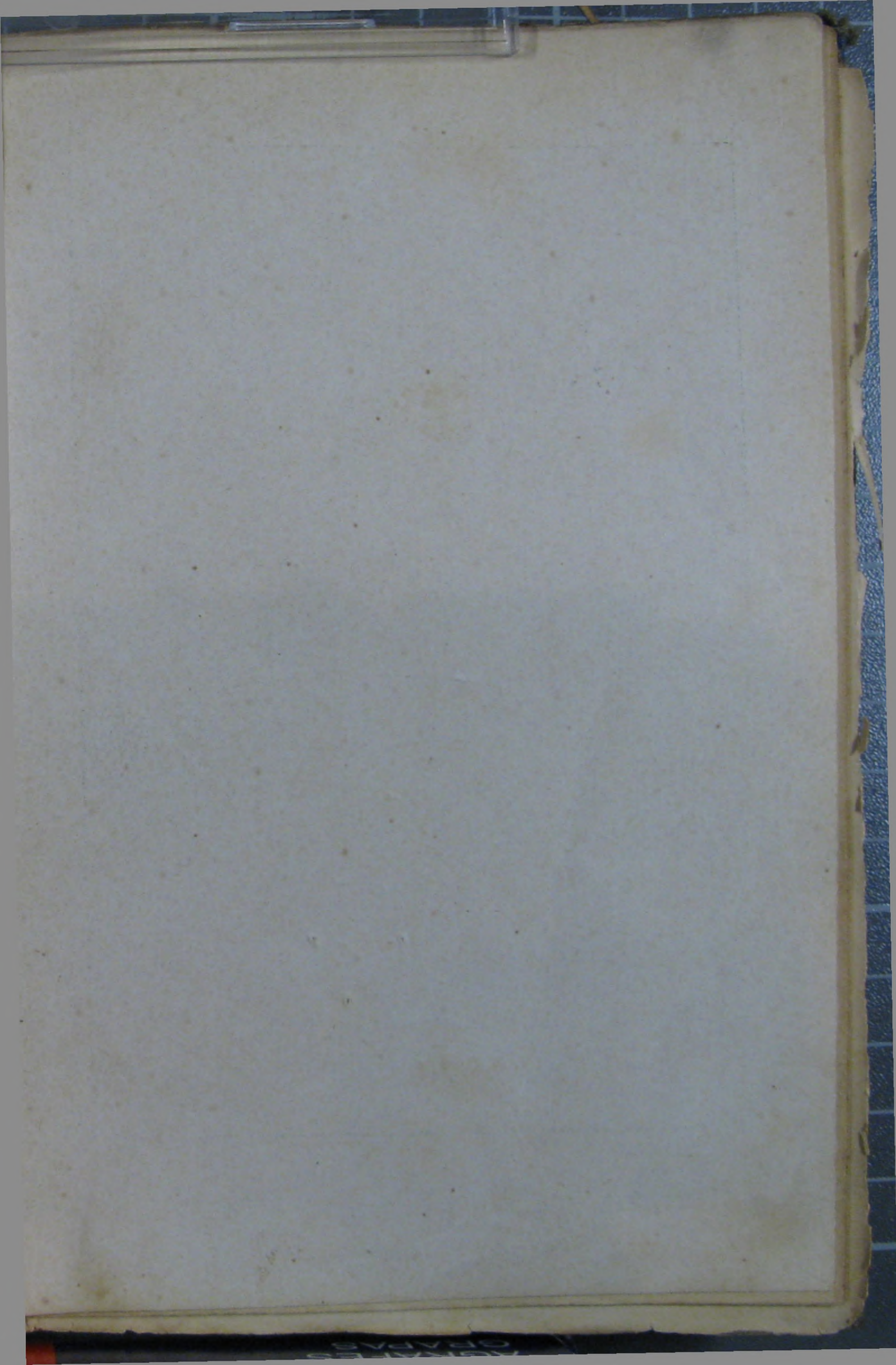
i tamten motylek obmyśleć dobre siedlisko dla swoich dzieci.

— Zkąd on jednak mógł wiedzieć, co im będzie smakowało, skoro sam tylko sok z kwiatów wypijał? — mówiła pszczołka — chyba, że już Opatrzność nad tem czuwała. Ale widzę z tego wszystkiego, że ja miała trochę słuszności: ten motylek był próżniak; gdy raz dla dzieci wynalazł gotowe pożywienie, nic już sam potem nie robił, fruwał sobie tylko, bawił się, co tu wiele mówić, próżnował, i koniec. Opatrzność jest miłosierna, lecz także i sprawiedliwa, motylek zrobił już na świecie wszystko, co do niego należało, więcej nic nie umiał i dlatego to pewnie musiał biedaczek umierać. O tak, tak, kto nie jest użyteczny, ten nie wart żyć, szkoda dla niego i tej odrobiny soku z kwiatów.

I pszczołka brzęcząc pofrunęła dalej do swojej roboty.

---











## Przygody rodziny Puszykickich.

---

### I.

Pani Puszykicka była to wiewiórka już niemłoda, znana i szanowana w całym lesie. Wychowała troskliwie niemało synów i córek, wszystko to mieszkało teraz osobno, w gniazdach własnych, synowie mieli żony, a córki mężów. Ród Puszykickich tak się rozmnożył w lesie, że prawie wszystkie młode wiewióreczki nazywały starszą panią Puszykicką, to babunią, to ciocią.

Każda młoda mateczka przychodziła do niej po radę, jak ma dziatwę wychowywać, a ona tyle miała doświadczenia i roztropności, że jak poradziła to pewnie dobrze. Pan Puszykicki nie zasługiwał na taki szacunek. Chociaż nie pierwszej już młodości, był lekkomyślny, przez cały dzień skakał po lesie, zajadał orzechy i inne



przysmaki, a rzadko kiedy pamiętał zanieść żonie jakiś zapas żywności. Ona sama musiała się zajmować zaopatrzeniem spiżarni na zimę, pozatykaniem szpar w dziupli, gdzie rodzina mieszkała podczas mrozów, wszystko było na jej głowie.

Ale poczciwa pani Puszykicka nigdy się nie skarżyła, wzdychała tylko po cichutku i sama pracowała, ile mogła. Jedyłą jej pociechą były dzieci, starsze wprawdzie gospodarowały na swoim, lecz młodsze zawsze dłużej mieszkały przy matce i pomagały jej w domowych zajęciach.

Teraz właśnie dochowała się dorodnej córeczki, dała jej imię Pufcia i przyuczyła, zwyczajnie jak dobra matka, do pracy i porządku. Pufcia jednak widocznie w ojca się wdała, leniwa była do roboty, lubiła tylko wyskakiwać po gałęziach i odbiegać od domu. Matka ją przestrzegała, że to wcale nieładnie dla wiewióreczki dobrze wychowanej, bo chociaż czasem i pobawić się, i poskakać można, to zawsze tylko po skończeniu ważniejszych zajęć.

Na nieszczęście pan Puszykicki, zamiast dodać od siebie jakieś słówko, gdy słyszał, że żona nauki te dawała Pufci, zawsze jej jeszcze przeskadzał i najgorsze rady dawał córeczce. A że



to młodzież chętniej lgnie do złego niż do dobrego, więc Pufcia wolała słuchać ojca anizeli matki.

Dnia pewnego w piękną pogodę pani Puszykicka zabrała się gorliwie do oczyszczania i uprzątnięcia mieszkania, do składania zapasów żywności w spiżarni, bo jako przezorna gospodyni wiedziała, że po pogodzie przyjdzie zapewne słota, a wówczas miło będzie siedzieć sobie w zacisznym schronieniu i gryźć orzeszki. Pufcia pomagała matce, gdy wtem znienacka nadszedł pan Puszykicki, jak zwykle w podskokach wesółych, wymachując ogonem.

— Chce się to wam w taką śliczną porę nad robotą się męczyć! — zawołał — chodźcie lepiej ze mną do dworskiego ogrodu. Poskaczemy sobie po ładnych owocowych drzewach, zobaczymy coś nowego i różnych przysmaków się najemy.

— Nie lubię ja się włóczyć po ludzkich ogrodach — odpowiedziała rozsądna pani Puszykicka — ludzie nas prześladują, dzieci zwłaszcza największą w tem mają przyjemność, ażeby nieszczęśliwe stworzenie, czy to wiewiórkę, czy ptaka, schwycić i męczyć w więzieniu. Najlepiej unikać spotkania z temi złośliwemi istotami. Ra-



dzę ci nie iść i Pufci nie namawiaj na to. Lepiejbyś nam trochę pomógł, tyle dziś mamy roboty.

— Oho! jeszcze czego! — wykrzyknął pan Puszykicki i jednym susem przeskoczył na drugie drzewo — chodź ze mną, Pufciu, zobaczysz, jak się wybornie zabawimy, niech tam matka sobie zrędzi, niewarto na to zważać.

Pufcia radośnie wywinęła ogonem i takiego susa dała, że w mgnieniu oka była już obok ojca i dalej za nim pomknęła. Cóż miała robić biedna pani Puszykicka? westchnęła zcicha, jak zwykle i dalej sama pracowała. Gorzkie myśli snuły się jej po głowie. Wszystkie dzieci wychowały się dobrze, brały przykład z matki, Pufcia jedna podobniuteńka była do ojca i takż sama lekkomyślna, leniwa; bardzo niespokojna była poczciwa pani Puszykicka o jej przyszłość. Bo czyż może być dobra żona i matka z takiej wiewiórki, co porzuca domowe gospodarskie zajęcia, ażeby się zakradać do cudzego ogrodu?

## II.

Minęło południe, niedaleko już było do zachodu słońca, pani Puszykicka ukończyła odda-



wna swoje zajęcia i niecierpliwie wyglądała powrotu męża i Pufci. Zaczęła się niepokoić coraz więcej, pan Puszykicky coprawda nieraz i po dni kilka do domu nie wracał, gdy się rozhułał, ale Pufcia powinna była wrócić wcześniej.

Trapiona obawą śmiertelną, pani Puszykicka nie mogła usiedzieć w domu i wyszła naprzeciw Pufci. Wioska z owym ogrodem była dość daleko od lasu, za strumieniem, płynącym przez kwiecistą łąkę. Wiewiórki umieją dobrze pływać, strumień nie był szeroki, pani Puszykicka dostała się na drugą stronę z łatwością i biegła dalej, rozglądając się dokoła, czy nie obaczy powracających wędrowców. Długo wypatrywała nadaremnie, wkońcu z przestachem spostrzegła zdaleka Pufcię, wlokącą się powoli, kulejącą, samą bez ojca.

— Co ci jest, moje dziecko? — zawołała matka, w kilku susach przybiegając do niej — gdzie ojciec, czy się wam co stało?

— Ach, mateczko, nieszczęście, straszne nieszczęście! — zawołała Pufcia — ojciec dostał się do niewoli, a ja ledwo zdołałam umknąć, powracam okaleczona, jak widzisz, ledwo się dowlokłam.

Pani Puszykicka załamała łapki, a po chwili



zaczęła rozpytywać, jakim sposobem się stał tak okropny wypadek.

— Skakaliśmy sobie najspokojniej po drzewach z ojczulkiem — mówiła Pufcia, ochłonawszy nieco — zrywaliśmy owoce, ani pomyśleliśmy o niebezpieczeństwie, gdy nagle nadbiegła z krzykiem szalonym gromada chłopaków. „Wiewiórki, wiewiórki!“ wołali w niebogłose, jak gdyby nigdy w życiu wiewiórki nie widzieli i dawaj gonić za nami. Dwóch tych drapieżników wdrapało się na drzewa, a doskonale hultaje po gałęziach się czepiali i wkrótce jeden z nich z dzikim okrzykiem tryumfu pochwycił nieszczęśliwego ojczulka za ogon. Mnie dopędzić nie mogli, więc jeden rzucił ze złości we mnie kamieniem i nogę mi okaleczył. Tłumiąc ból straszliwy, ukryłam się jednak wśród gęstych liści tak, że mnie z oczu stracili.

— A ojciec, cóż ojciec? — pytała pani Puszykicka.

— Ojca zabrali i wśród śpiewów i śmiechów odnieśli do domu, ja zaś, zmęczona okropnie tą gonitwą, od przytomności prawie odchodziłam i długo musiałam wypoczywać, nim wreszcie zdołałam uciec z tego ogrodu.

*okres frekwencji  
i moment*



— Chodźmyż jaknajprędzej do domu — rzekła matka, wzdychając ciężko.

Ale pokazało się, że biedna okaleczona Pufcia żadnym sposobem nie mogła pływać, a tu strumyk koniecznie przebyć było potrzeba. Roztropna pani Puszykicka nie straciła głowy, upatrzyła na brzegu kłodę drewnianą wydrażoną, wszelkich sił dokładając spuściła ją na wodę i pomogła Pufci usadowić się na tym promie. Sama zaś weszła w wodę i popychała kłodę ku przeciwnemu brzegowi.

Tym sposobem szczęśliwie przebyły obie strumień, dostały się do domu, Pufcia odpoczęła i usnęła na wygodnej pościółce. Ale pani Puszykicka, srodze strapiona nieszczęściem męża, przez całą noc usnąć nie mogła. Miała dobre serce, zapomniała więc zupełnie o jego wadach, o przykrościach, które jej wyrządzał, szczerze tylko ubolewała, że nie mogła mu przynieść ratunku.

Nieszczęśliwy pan Puszykicki dotychczas pokutuje za swoją lekkomyślność; lubił skakać po gałęziach w lesie, teraz musi skakać nieborak w klatce po drabince dla zabawy dzieci. Ze skruchą przypomina sobie, jak rozsądna żona namawiała go, aby nie szedł na tę nieszczęsną wycieczkę, lecz pomógł jej przy robocie. Gdyby



był dobrej rady usłuchał, nie jęczałby teraz w więzieniu. Niestety! Nietylko Lach mądry po szkodzie.

Pufcia zupełnie się poprawiła, słucha we wszystkim matki, stała się pracowitą, porządną, jest wzorem młodych wiewiórek.

---



## Antoś i wujaszek.

---

Antoś mieszkał na wsi z rodzicami, miał on dopiero lat siedm, ale bardzo był na swój wiek roztropny i lubił towarzystwo starszych. Bardzo się też ucieszył, gdy do rodziców jego przyjechał na kilka tygodni letnich wujaszek, brat Mamy. Antoś rzadko kiedy przedtem widywał tego wujaszka, ale teraz prędko się z nim zapoznał i zaprzyjaźnił. Oprowadzał go po domu, po ogrodzie, po całym gospodarstwie, wszystko tłumaczył, opowiadał, a wujaszka każda rzecz zajmowała, bo mieszkał zwykle w mieście i nie znał wcale wsi. Dnia pewnego poszli obaj do stajni i Antoś pokazywał wujaszekowi konie powozowe, wierzchowe i młode źrebaki. Prześli-czny koń siwy, wierzchowiec ojca, podobał się szczególnie wujaszekowi, Antoś prosił stajennego



Franciszka, ażeby go wyprowadził na podwórze, bo w stajni trudno było go dobrze obejrzeć. Koń był dość żywy, trochę nawet narowisty, zaczął więc parskać, łbem wywijać i podskakiwać, gdy Franciszek go wyprowadził ze stajni; Antoś jednak wcale się nie bał i podbiegł bliźutętko do jednego konika, chciał go po grzbiecie pogłaskać. Ale wujaszek chwycił chłopczyka za rękę i gwałtem odciągnął, a sam zdaleka tylko patrzył na konia, nie zbliżając się do niego.

— Niech wujaszek będzie spokojny — mówił Antoś — on mnie nic nie zrobi, głaskałem go nieraz przy tatce, nawet mnie raz tatko posadził przy sobie na siodle i cały dziedziniec z nim objechałem.

— Przy tatce to co innego — odpowiedział wujaszek — ja z końmi nie umiem się obchodzić, i sam się nie zbliżę do niego, i tobie nie pozwolę.

— Mógłby kto pomyśleć, że wujaszek boi się koni — rzekł Antoś nawpół żartem i spojrział przenikliwie na wujaszka.

— Nie boję się spokojnych koni, zaprzężonych do powozu — powiedział wujaszek — ale takich narowistych nigdy nie widziałem zbliżka, pocóż się mam narażać bez potrzeby.



Antoś patrzył na wujaszka ze zdziwieniem, nie już nie mówił, ale gdy powrócili do domu, a wujaszek odszedł do swego pokoju, chłopczyk pobiegł do mamy i szepnął jej do ucha:

— Tchórz!

— Kto taki? — zapytała mama.

— Ten wujaszek, mamuńciu, taki tchórz...

I Antoś zaczął opowiadać zdarzenie z koniem. Mama uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Czyż zaraz ma być tchórzem dlatego, że nie chciał się zbliżyć do narowistego konia? Wujaszek mieszka w mieście, swoich koni nie ma i obchodzić się z nimi nie umie. Gdyby się przyzwyczał, pewnieby się nie obawiał. Wdzięczna mu jestem bardzo, że i tobie nie pozwolił zbliżyć się do tego konia, to nie jest żadne tchórzostwo unikać niebezpieczeństwa; bardzo słusznie wujaszek powiedział, że bez potrzeby nikt się narażać nie powinien.

Ale Antoś pokręcał główką, słowa mamy niebardzo jakoś trafiły mu do przekonania, dla wujaszka był zawsze równie serdeczny, ale mu przykro było, że się okazał takim tchórzem, jak on mówił.

Dnia następnego przed wieczorem wszyscy



poszli na przechadzkę do pobliskiego lasu; gdy powracali przez wieś, usłyszeli nagle jakieś krzyki, a po chwili rozróżnili wyraźnie wołanie: „Gore! gore!“

— O co za nieszczęście! — rzekł Ojciec — ludzie jeszcze z pola nie powrócili, nie będzie komu ratować. Trzeba nam pobiedz jaknajprędzej i dowiedzieć się, co się pali. Hej Wicku! — zawołał na chłopaka, który przebiegał obok nich — gdzie to jest pożar?

— Chata Wojciechowej wdowy pali się proszę jaśnie pana — odrzekł chłopak i pobiegł dalej.

— Biedna Wojciechowa! — zawołał Ojciec — pewnie w polu pracuje, a dziecko zostawiła w chacie; żeby tylko broń Boże mu się co złego nie stało.

— Ależ śpieszmy tam, nie traćmy czasu — przerwał wujaszek i pobiegł naprzód w stronę, gdzie widać już było wyraźnie kłęby dymu i płomień, buchające nad dachem niskiej chatki. Ojciec śpiesznie za nim podążył, a mama kazała dzieciom iść przy sobie i na krok się nie oddalać. Gdy przeszli parę ulic, mama nie chciała się zbliżyć więcej do pożaru, zdaleka tylko patrzyła wraz z dziećmi, a widać było wszystko, jak na dłoni. Koło płonącej chaty uwijało się



kilku ludzi zaledwie, bo cała wieś była w polu, ogień szybko ogarnął cały dach, słomą pokryty, snopki płonące spadały na ziemię, rozsypując iskry dokoła. Nikt nawet nie próbował ratować, bo to było niepodobieństwem.

Antoś widział doskonale wujaszka, jak przybiegł na miejsce pożaru, jak mówił żywo do ludzi, co tam stali, pokazując na płonącą chatę, a potem ujrzał z podziwieniem ogromnym, że wujaszek uderzył silnie pięścią w drzwi zamknięte, a gdy się nagle rozwarły, wskoczył do środka chaty i zniknął.

— O mój Boże! — zawołała mama przerażona — poco on tam poszedł, chata już cała w płomieniach, jeszcze się broń Boże oparzy!

A wtem paląca się belka spadła z łoskotem przed samymi drzwiami, które się także zajęły jak łuczywo. Ogromne kłęby czarnego dymu i płomienie czerwone podnosiły się od progu chaty aż powyżej dachu. Mama krzyknęła i biegła nieprzytomna prawie, a dzieci płacząc biegły za nią. Po chwili stanęli o kilka kroków od pożaru i Antoś obaczył w oknie palącej się chaty wujaszka. Trzymał on na ręku synka Wojciechowej, o którym wszyscy zapomnieli. Przysta-



wiono drabinę do okna i wujaszek zręcznie spuścił się na ziemię wraz z dzieckiem.

— A toż zuch dopiero z tego twojego braciuszka! — mówił ojciec, prowadząc wujaszka do mamy strwożonej i zapłakanej — nic a nic mu się nie stało, chociaż niebezpieczeństwo było straszne. Włosy tylko osmalił trochę, ale malca od pewnej śmierci uratował.

Nadbiegła w tej chwili z pola Wojciechowa z lamentem strasznym, a gdy ujrzała chłopca zdrowego, uspokoiła się odrazu, bo o niego najwięcej się obawiała. Obecni tam wieśniacy w kilku słowach opowiedzieli jej, co się stało, biedna kobieta padła do nóg wybawcy swojego dziecka, ale wujaszek taki tem był zakłopotany, że uciekł czempredzej do domu, ażeby jak mówił, umyć się i przebrać.

Ojciec obiecał Wojciechowej dać drzewa na nową chałupę, a jeden z bogatszych wieśniaków zabrał ją tymczasem z dzieckiem do siebie. Gdy mama z dziećmi wracała do domu, Antoś był dziwnie jakoś zamysłony, a gdy przyszli i wujaszka zastali na ganku, chłopczyk rzucił mu się na szyję i zawołał:

— Wujaszek nie tchórz, o, nie tchórz!



— A to ty mnie za tchórza miałeś? —  
odrzekł, śmiejąc się wujaszek.

Mama wówczas wyjaśniła rzecz całą i zwracając się do synka, rzekła:

— Oto masz przykład najlepszy, co znaczy prawdziwa odwaga, masz także naukę, że nigdy z pozorów sądzić nikogo nie należy.

---



## Lunia i Żolka.

---

Lunia miała psinkę Żolkę, którą niezmiernie lubiła. Nikt tego dzieciom nie gani, gdy są przywiązane do pocziwych zwierzątek, we wszystkim jednak miarę zachować należy. Mama często powtarzała Luni, że z psinką można się bawić, wziąć ją czasem na kolana, pogłaskać, ale całować się z nią ciągle, to już rzecz zupełnie zbyteczna. Piesek może być czasem chory, zresztą cóż to ładnego pozwalać się oblizywać i ślinić takiemu zwierzątku, choćby i najpocziwшему? Lunia jednak zwykle zapominała o przestroгах mamy, największą miała przyjemność w tych całusach i pieszczotach swojej ulubionej Żolki.

Raz przyjechała zdaleka ciocia, której Lunia nigdy jeszcze nie widziała. Wielka była ra-



dość w całym domu, a nasza Lunia odrazu pokochała tę ciocię, dobrą, miłą i wesołą. Wyobraźcie sobie jak się zdziwiła i zmartwiła, gdy raz chciała rzucić się na szyję cioci i ucałować ją serdecznie, a ta cofnęła się, jakby z obrzydzeniem i nie dała się pocałować.

— Ach, daruj mi, moja droga Luniu — rzekła ciocia — jabym ciebie tak chętnie uściśkała i popieściła, tylko... cóżem ja temu winna? zobaczyłam dziś, jak całowałaś się ze swoją Żolką, a psina pośliniła ci całą buzię. Ja lubię pieski, nigdy ich jednak nie całuję i przyznam ci się, że się tego okropnie brzydzę.

Mama słyszała tę rozmowę i bardzo była rada, a Lunia zawstydzila się strasznie; w pierwszej chwili, o mało się nie rozplakała, że jednak była dobrą i rozsądną dziewczynką, więc poszła do drugiego pokoju, umyła buzię starannie, potem powróciła do cioci i rzekła:

— Już jestem umyta, ciotuniu kochana, niech mię tylko ciocia pocałuje, a przyrzekam, że nigdy nie pozwolę się ślinić i lizać Żolce.

— A to co innego — rzekła ciocia — teraz, jak pocałuję moję siostrzeniczkę, nie będę w obawie, czy mi się czasem ślina Żolki do ust nie dostała.

---



## Indyk i wróbelek.

---

— Próżniaku! Darmozjadzie! A pójdźże!  
Tak wołał z gniewem indyk w języku ptasim na małego wróbelka zato, że ten schwycił parę ziarenek, posypanych przez gospodynię na dziedzińcu folwarcznym. Wróbelek w bok odskoczył, ale niebardzo się nastraszył tego krzyku i zaświegotał pokornie do indyka:

— Czego się wielmożny pan indyk tak gniewa; czy to tu mało ziarna? ja przecież dużo nie zabiorę, troszeczkę się tylko posilę; zmęczyłem się strasznie, budujemy gniazdko z moją żoneczką, bo już czuć wiosnę, trzeba się dobrze zabrać do roboty.

— No no, weź tam już sobie parę ziarenek — rzekł indyk, trochę udobruchany — ale poczekaj, niech ja się wprzód najem. Nie mogę się



przecież tak pospolitować, żeby jeść razem z tobą, co ja, to nie ty.

— O, wiem ja to dobrze, wielmożny panie indyku; ja sobie prosty wróbelek tutejszy, a pan podobno z dalekich zamorskich krajów pochodzi. Toż i gospodyni umie pana indyka szanować, zawsze mu pełną garścią sypie ziarno. O mnie nigdy ani pomyśli.

— A widzisz — mówił indyk, nadymając się z dumą — znają mnie wszyscy i szanują; bo to ja widzisz pochodzę ze znakomitego cudzoziemskiego rodu, z takiego kraju, o którym ty nawet nie słyszałeś nigdy.

— A z jakiego? Ach, żeby to pan indyk był łaskaw opowiedział — rzekł wróbelek, udając wielką pokorę; umyślnie wyciągał indyka na słówka, choć wcale nie był ciekawy, z kąd on tam pochodzi, ale myślał sobie, że jak się rozgada o swojej wielkości, to na nic nie będzie uważał, a on tymczasem ziarnko po ziarnku schwyci mu z przed nosa.

— Moja ojczyzna jest bardzo daleko — mówił indyk — za szerokiem morzem, za oceanem, na drugim końcu świata.

— A! to pewnie aż tam, gdzie jaskółki lecą na zimę.



— Ale gdzieżby tam jaskółka zaleciała! Tam nawet ludzie swojemi okrętami nie mogli dopłynąć, aż jeden znalazł się taki odważny, nazywał się Krzysztof Kolumb...

— Aha! to pan indyk z Ameryki pochodzi — przerwał wróbelek i dzióbnał aż trzy ziarnka naraz.

— A ty zkad to wiesz? — spytał indyk.

— Oho! czy to ja nie słyszę, jak siedzę czasem na dachu i do okien zaglądam, co tam dzieci na lekcyach swoich powtarzają. O owym Kolumbie, co Amerykę odkrył, tak często mówią, że i my wróble świegocemy o tem na dachu. Ale jakże to pan indyk mógł z Ameryki przylecieć przez takie morze szerokie? Nie widziałem nigdy, żeby pan latał, nieraz nawet sobie myślałem: poco też ten pan indyk ma takie duże, wspaniałe skrzydła, skoro nie umie latać?

— Bo ja, widzisz, latać nie potrzebuję i nie lubię, wolę biegać; latanie nie przystoi ptakom szlachetnie urodzonym, pospólstwo tylko lata, wróble, jaskółki, skowronki, ale gdzieżby tam indyk latał!

Mówiąc to, nadał się i kiwał nosem z wielką powagą.



— A więc jakże pan indyk dostał się aż z Ameryki do naszego kraju? — pytał wróbelek.

— No, ja się już tu w kraju urodziłem, i ojciec mój także, i dziad, i pradziad. Kiedyś, bardzo dawno, mojego pra-pra-pradziadunia ludzie okrętem przywieźli z Ameryki. Słyszałem to od mojej matki, a jej mówiła babka, tamtej znów prababka. Babunia opowiadała bardzo ciekawe historye, jak to tam nasi bracia indyki żyją na stepach amerykańskich, jak wędrują ogromnemi gromadami, przechodzą przez lasy, przepływają nawet rzeki, a nigdy nie mieszczą po takich ciasnych kurnikach, jak my i nie znają ludzi, nigdy przynajmniej nie przyjaźnią się z nimi.

— I pocóż to pański pradziadunio tu przyjechał do Europy? — spytał wróbelek.

— On nie miał wcale ochoty jechać, ludzie go zabrali, bo nie mieli tu w Europie tak wspaniałych ptaków i wstyd im było żyć tylko z nędznemi wróblami, jaskółkami, i innem pospółstwem tutejszem — i znów indyk się nadał i kiwał nosem z wielką dumą.

— Upadam do nóg — rzekł wróbelek — żona na mnie woła, trzeba jej tam w czemś pomódz w budowie gniazdeczka — i pofrunął,



bo już wyjadł wszystkie ziarnka, a rozmowa z indykiem wcale go nie zajmowała. Spotkawszy się z żoną opowiedział jej wszystko i śmiał się z pychy indyka.

— Żebyś wiedziała, duszko — mówił — jaki on jest zabawny; wyobraża sobie, że ludzie sprowadzili tu jego przodków dla ich wspaniałej postaci jedynie, i że gospodyni sypie mu ziarno przez wielkie uszanowanie. Wiem ja dobrze, dlaczego oni go tak szanują i pielęgnują, widziałem kiedyś przez okno, jak kuchcik obracał na różnie takiego samego indyka, oskubanego zupełnie z pierza. Pomyślałem też sobie wtenczas: jak to dobrze, że ja jestem taki niepozorny, mały, chudy, ludzie się na mnie nie zląkomią.

— No, no, cicho już, gaduło — zaświegotała wróbliczka — pomóż mi pozbierać ten mech, bo mi potrzebny do wysłania gniazdka; co tam będziesz się cudzemi sprawami zajmował.

I oboje zabrali się żwawo do roboty.





## SPIS PRZEDMIOTÓW.

---

	Str.
Wiewiórki . . . . .	1
Wojtuś . . . . .	8
Mały ogrodnik . . . . .	14
Mała Laponka . . . . .	18
Opowiadanie Białosi . . . . .	23
Lunia . . . . .	30
Michalek . . . . .	33
Roztrzepaniec . . . . .	40
Niedrogi pistolet . . . . .	46
Wojna z muchami . . . . .	51
Zimna woda . . . . .	58
Temistokles . . . . .	62
Królik . . . . .	66
Co się robi z piasku . . . . .	68
Wszystkorusz . . . . .	74
Sen Misi . . . . .	87
Nauki Czubatki . . . . .	91
Kasia . . . . .	98
Straszna przygoda Wąsatka i Pacioreczki . . . . .	100



	Str.
Grzyby . . . . .	107
Przestrach cioci Wańdzi . . . . .	111
Co węgielek opowiadał . . . . .	118
Pawełek . . . . .	125
Przestrach Janinki . . . . .	131
Wieszczka okruszyn . . . . .	138
Nieposłuszna Lusja . . . . .	146
Maryanek . . . . .	150
Ślizgawka . . . . .	151
Myszki . . . . .	161
Wycieczka do lasu . . . . .	165
Mała malarka . . . . .	173
Złota szpilka i świeczek . . . . .	175
Podarunek dziadunia . . . . .	182
Dziwne iskierki . . . . .	185
Pszczołka i motylek . . . . .	190
Przygody rodziny Puszykických . . . . .	193
Antoś i wujaszek . . . . .	201
Lunia i Żolka . . . . .	208
Indyk i wróbelek . . . . .	210







AGRAFES  
GRAPAS







Handwritten text in cursive script, possibly a signature or name, located at the top of the page.



